

DREAM WINCHESTER



DONIKAĐ

*Ludzie zawsze myśleli o jutrze. Ja w to nie wierzyłem. Bo jutro nie myślało o nich. Nawet nie wiedziało, że są.*

Cormac McCarthy

## Część pierwsza

### *Bezkresy dróg stanowych*

Nicolas North zdecydowanie nie chciał umierać. Trzymał się życia rozpaczliwie żałościwie, mimo że już dawno powinien zejść z tego świata, o czym zresztą doskonale wiedział. Tym razem jednak obawiał się, że limit jego szczęścia został przekroczony.

Odpychał od siebie nogami i rękami rzucające się, gnijące cielsko jakiegoś grubego faceta, modląc się przy tym, aby znów stał się cud. Już nawet deska, jaką odgradzał się od trupa, wydawała mu się niezwykle ciężka, a mięśnie ramion paliły go żywym ogniem. Chociaż to może jakieś zadrapanie? Co, jeżeli został ugryziony, a z nerwów i napływającej adrenaliny nawet tego nie zauważył?

I wtedy rozległ się huk. Tak głośny, że pierwszą myślą Nicolasa była możliwość przyciągnięcia tu większej ilości potworów. Szybko jednak porzucił te rozważania, gdy zauważył, że grubas, który atakował go bezustannie od jakichś dziesięciu minut (albo i dłużej, gdyż ostatnią rzeczą, na jaką zwracał uwagę w tamtym momencie, był czas), uwalnił się na niego. Krew z rozwalonej głowy zaczęła spływać po desce odgradzającej Nicolasa od ciała zarażonego.

Zwalił z siebie śmierdzące zwłoki mężczyzny, żeby od razu podnieść się do siadu i obejrzeć swoje kończyny. Nie miał żadnych ran, na co aż odetchnął z ulgą i z powrotem opadł na zimne płytki sklepu stacji benzynowej. Dopiero wtedy spojrzał na postać stojącą przy wejściu do budynku. Aż przełknął ślinę, oglądając sylwetkę do góry nogami. Z tej perspektywy wyglądała naprawdę groźnie, a – jak Nicolas zdążył się nauczyć przez ostatnie trzy miesiące – ludzie nie byli mili. Nie wtedy, kiedy musieli troszczyć się o siebie, aby przeżyć. Stawali się zwierzętami skupionymi tylko

na przetrwaniu.

Mężczyzna, który niewątpliwie go uratował, był wysoki. Nicolas powoli się podniósł, nie spuszczać z niego uważnego spojrzenia. Głowa wybawcy znikła w cieniu kaptura szarej, miejscami nadszarpniętej i poplamionej (najprawdopodobniej krwią) bluzy. Twarz miał ciemną od brudu, a jego brodę porastał zarost. W dłoniach trzymał zwykły pistolet, nie celował jednak w Nicolasa, lufa spuszczone była w dół, ku podłodze.

– Dzięki – powiedział do mężczyzny, kiedy usiadł przodem do niego. Bał się wykonać jakikolwiek gwałtowny ruch, bo wciąż miał wrażenie, że ten facet tak po prostu do niego strzeli.

– Ugryzł cię? – zapytał groźnym tonem, jasno mówiącym, że jeżeli tak, to Nicolas nie ma już czego szukać wśród żywych.

– Nie. – North szybko pokręcił głową i uniósł ręce. Serce niemal podeszło mu do gardła, kiedy zobaczył, jak mężczyzna odruchowo zaciska dłoń na uchwycie pistoletu. – Nie! Nic mi nie zrobił – zaprzeczył. W odpowiedzi został zmierzony nieufnym spojrzeniem, ale w końcu nieznajomy kiwnął głową, dając mu znać, że przyjmuje to do wiadomości. Rozejrzał się dokładnie po zdemolowanym wnętrzu sklepu. Podłogę pokrywała lepka, zaschnięta substancja, będąca tak naprawdę wyschniętymi napojami, jakie się na nią wylały, gdy ktoś rozbił automaty z sokami. Jedyne, co tu było całe, to szyby w oknach i drzwi, które North od razu powinien zamknąć. To, że znajdował na środku jednego wielkiego niczego, nie oznaczało, że nigdzie nie czaiły się trupy. W tych czasach ostrożność oznaczała tyle, co życie, a on chyba przez chwilę o tym zapomniał.

Mężczyzna przechadzał się pomiędzy zawalonymi półkami i w pewnym momencie schylił się. Nicolas wykorzystał ten moment, aby przysunąć się do swojego karabinu, który upuścił. Gdyby miał go przy sobie, nie musiałby korzystać z czyjejs pomocy. Dałby sobie radę sam.

– Zostaw. – Usłyszał za plecami. Aż przełknął ślinę, gdy dobiegł go odgłos odbezpieczanej broni. Odwrócił się powoli, patrząc na wycelowaną w niego lufę pistoletu. – Weźmiesz go, jak stąd wyjdę – powiedział mężczyzna. Nicolas kiwnął szybko głową i uniósł dłoń.

– Jasne, tylko, kurwa, nie trzymaj tak tej broni – prychnął, zaczynając się denerwować. A jak był zdenerwowany, robił się opryskliwy.

– Jesteś tu sam? – zapytał nieznajomy, zaczynając pakować do swojego plecaka jakieś napoje i przekąski. Uwadze Nicolasa nie umknęła też Barbie, którą tam wcisnął. Złośliwie pomyślał, że nie podejrzewałby kogoś takiego o zabawę lalkami, szybko jednak wyrzucił to z głowy. Miał przecież większe zmartwienia niż dziwne upodobania nieznajomego.

– Tak – odpowiedział od razu Nicolas, na co facet aż na niego spojrział, zamierając w bezruchu. Wpatrywał się w niego przez dłuższą chwilę, zupełnie jakby tym samym chciał wydusić z niego prawdę.

– Nie wierzę – prychnął gniewnie. – Masz duży samochód – dodał i ruchem głowy wskazał na zaparkowanego hummera pod wejściem do sklepu.

– I co z tego? – Wzruszył ramionami. Nie kłamał przecież, chociaż może powinien? Może gdyby powiedział, że jego grupa – bo ludzie teraz zazwyczaj trzymali się w grupach, stadach lub watahach, zwał, jak zwał – szlaja się w pobliżu, mężczyzna przestraszyłby się i zostawił go w spokoju? A Nicolas znalazłby to, czego potrzebował, czyli oleju silnikowego i jakiegoś żarcia, i ruszyłby w drogę.

– Kłamiesz – syknął Nieznajomy i od razu podszedł do niego. Nicolas zdążył się jeszcze odsunąć kilka metrów, ale napotkał plecami na ladę sklepową. Facet złapał go za przód bluzy i z zadziwiającą łatwością podniósł, przyciągając tym samym do siebie.

– Nie, nie, nie! – krzyknął chłopak i aż zamknął oczy, gdy mężczyzna przyłożył lufę pistoletu do jego skroni. Serce zabiło mu szybko, podobnie jak w momencie, gdy zaatakowały go zwłoki. Przez chwilę słyszał tylko szum własnej krwi i swój nierówny oddech. Odkąd pamiętał, był cholernym tchórzem, już w podstawówce, kiedy krył się po toaletach przed szkolnymi chuliganami. Ale też odkąd pamiętał, to właśnie chowanie głowy w piasek ratowało mu cztery litery. Tylko dzięki temu przeżył te trzy miesiące końca świata, bo – po pierwsze – nigdy nie ufał ludziom, po drugie – zawsze uciekał i krył się po kątach. – Jestem sam! Przysięgam, do cholery! – Miał świadomość, że brzmi żałośnie, ale nie obchodziło go to. Chciał tylko wrócić do swojego kradzionego hummera i ruszyć w dalszą drogę, która miała na celu jedno – przetrwanie.

Mężczyzna odepchnął go, a on z powrotem znalazł się pośladkami na podłodze. Został jeszcze zmierzony uważnym spojrzeniem, po czym nieznajomy prychnął z pogardą, ale nic już nie powiedział. Zabrał tylko swój plecak, który wcześniej

upuścił, i ruszył do wyjścia. W tym momencie rozległo się rżenie. Obaj spojrzeli na drzwi prowadzące do zaplecza znajdującego się na drugim końcu sklepu. Wyglądały tak, jakby nie mogły już wytrzymać zbyt dużego naporu. Drżały, bo ktoś z drugiej strony zaczął na nie uporczywie przecierać i niestety Nicolas miał świadomość, kim mógł być ten ktoś. Albo raczej czym.

W jednej chwili drzwi zostały wyważone, uwalniając dwa trupy, które ruszyły na to, co pierwsze zobaczyły, czyli na Nieznajomego. Nicolas nie zastanawiał się długo, a później, gdy już w spokoju poddał przemyśleniu to, co zrobił, sam się zdziwił swoją odwagą. Złapał za swój karabin i strzelił w zwłoki. Trafił w głowę, czyli dokładnie tam, gdzie powinien. Przeładował, żeby zaraz znów nacisnąć na spust, posyłając tym samym kulkę w potylicę drugiego trupa. Bezwładne, cuchnące ciało chudej i gnijącej kobiety upadło na sklepowe płytki, a zapach zwłok wydał się nagle jeszcze bardziej dokuczliwy. Nie wywoływał już on jednak u Nicolasa odruchu wymiotnego, jak to robił jeszcze trzy miesiące temu. Zdażył się do tego odoru przyzwyczaić.

Nieznajomy stał bez ruchu. Nie zareagował, chociaż wydawałoby się, że miał świetny refleks.

– Teraz ty masz u mnie dług – powiedział Nicolas i podniósł się z podłogi. Poczul się pewnie, gdy zademonstrował mężczyźnie, że nie był takim nieudacznikiem, jak ten prawdopodobnie o nim myślał. Złapał za karabin i swój plecak wypchany odpowiednimi rzeczami ze sklepu. Sięgnął jeszcze tylko po olej, gdy zauważył, że jest obserwowany. – Co? – zapytał.

– Nic – prychnął mężczyzna i pokręcił głową. Pchnął drzwi z furją, na co Nicolas aż się uśmiechnął.

– „Dziękuję” wystarczy! – krzyknął za nim, również wychodząc ze sklepu. Czasem zdarzało się jednak, że zostawiał swoje bycie tchórzem i pakował się w kłopoty. Momentami nie potrafił utrzymać języka za zębami, choć od trzech miesięcy wychodziło mu to znakomicie. Już zauważył, że szybkie poddawanie się zbijało przeciwnika z tropu (oczywiście o ile nie był to bezmózgi trup, wtedy wywieszanie białej flagi na niewiele się zdawało), a to dawało trochę cennego czasu na przemyślenie taktyki. Wbrew pozorom Nicolas był dosyć inteligentnym chłopakiem, który, jak dotąd, nie znalazł się jeszcze w sytuacji bez wyjścia. Już samo to, że przeżył trzy miesiące w tym kompletnym chaosie, gdzie nie można było

przewidzieć nadchodzących wydarzeń, sprawiało, że myślał o sobie jak o szczęściarzu. Tak jak los nie sprzyjał Nicolasowi w normalnym świecie, bo przed wybuchem zarazy, końca świata, pandemii, czy jak to nazwać, oblał na studiach i jeszcze na dodatek stracił pracę, tak teraz wiodło mu się całkiem nieźle.

Mężczyzna obejrzał się na niego przez ramię. Miał wąskie, ciemne oczy otoczone grubymi rzęsami. *Jego spojrzenie było groźne, mogłoby zabić*, pomyślał jeszcze z rozbawieniem Nicolas. Szybko jednak doszedł do wniosku, że nie powinien w takiej chwili się z niego nabijać. Nie, kiedy ten facet w każdym momencie mógł w niego wycelować i strzelić.

– Dzięki – powiedział jednak, ku zaskoczeniu Nicolasa. Ten Aż zamrugał, mając wrażenie, że się po prostu przesłyszał, a nieznajomy zamiast podziękowania odparł coś w stylu: „umrzyj”. Od trzech miesięcy jeszcze od nikogo nie usłyszał podziękowania, chociaż sam dziękował co chwilę. Wciąż ktoś, a to przypadkiem, a to w trosce o swoje życie, ratował mu tyłek. Taki już był fart Nicolasa, że zawsze znalazła się odpowiednia osoba w odpowiednim miejscu i czasie. Bał się tylko, że w momencie, kiedy mu tego szczęścia zabraknie, po prostu zdechnie i skończy jak jeden z trupów.

Nie czekając dłużej, bo przebywanie w towarzystwie nieznajomego mogło okazać się bardzo niebezpieczne, podszedł do swojego hummera. Niemal od razu zauważył, że dwie przednie opony były przebite. Aż zaklął i nie czekając długo, przeładował swój karabin, wymierzając w mężczyznę. Jakie było jego zdziwienie, kiedy zauważył, że ten też w niego celował.

– Rozpierzdziłeś mi koła! – oskarżył go, mrużąc groźnie oczy i marszcząc brwi. Ale był głupi, jeżeli myślał, że rozejdzie się z Nieznajomym w wesołej atmosferze przyjaźni, braterstwa i miłości do bliźniego. Zacisnął drżącą dłoń na kolbie karabinu, którego jakiś czas temu zawiął ze sklepu myśliwskiego. „Był zdenerwowany” to mało powiedziane. Na stacji, jak już zdążył się zorientować, nie było opon zapasowych. W bagażniku miał tylko jedną, jasne więc, że utknął na tym wygwizdowie na środku pustyni.

– Opuść broń – powiedział mężczyzna spokojnym, niskim tonem. Dopiero teraz, kiedy mierzyli się spojrzeniami, Nicolas zobaczył, że jego brew przecina spora blizna sięgająca czoła. Nie skupił się jednak na niej. Musiał jakoś się stąd wydostać i wiedział, że jeżeli puści mężczyznę wolno, zostanie skazany na pożarcie przez

wędrownie trupy, które pałętały się bez celu po tym stepie.

– Nie – warknął. – Zabierzesz mnie do najbliższego miasta... Rawlins w Wyoming? – rzucił z głowy. – Nie wiem, gdziekolwiek, gdzie dostanę porządnego samochód zatankowany do pełna – powiedział, wciąż mierząc do niego z załadowanej broni. Wystarczyło tylko, że nacisnąłby na spust i nieznajomy padłby trupem (tylko tym razem raczej by już nie wstał, jak inne znane mu trupy). Problem był jednak taki, że w wypadku gdyby strzelił, mężczyzna zrobiłby to samo, całkowicie odruchowo, i w wyniku tego obaj leżeliby martwi na betonie.

– Nigdzie cię nie zabieram – powiedział.

– Zabierzesz! Rozpieprzyłeś mi opony, do cholery! Nie zostawisz mnie tu teraz na pewną śmierć! – krzyknął Nicolas, tracąc nad sobą panowanie. Zaczął nawet drżeć z nadmiaru adrenaliny. – Masz u mnie dług!

Nieznajomy prychnął pogardliwie. Kolejną rzeczą ratującą Nicolasowi tyłek, oprócz szczęścia, była jego spostrzegawczość i bardzo dobry wzrok. Nie umknęło mu, że mężczyzna mocniej zacisnął dłoń na ręczce pistoletu, zupełnie jakby przygotowywał się do oddania strzału.

– Spróbuj! Spróbuj, a rozwalę ci łeb – ostrzegł go. – Sam widziałeś, że potrafisz nieźle celować.

Tak właściwie, to rozwalenie czaszek zwłok wyszło mu całkowicie fuksem. Wcześniej z trudnością przychodziło mu trafianie w cel, rzadko więc używał broni, częściej po prostu uciekał bądź dodawał gazu i rozjeżdżał trupy.

– Dobra – powiedział w końcu mężczyzna. – Zawiozę cię do Rawlins, jednak jak po drodze znajdziemy jakiś pojazd, od razu się do niego przesiadasz.

– Sprawny pojazd z pełnym bakiem – sprostował.

– Jasne. Sprawny z pełnym bakiem. – Kiwnął głową ugodowo, ale nie opuścił broni. North też tego nie zrobił, nawet gdy zabierał ze swojego hummera najważniejsze rzeczy, czyli zwykły pistolet, naboje do niego jak i do karabinu, który teraz trzymał.

– Okej, jestem gotowy – powiedział, nie spuszczać z mężczyzny uważnego wzroku. Poprawił sobie torbę z jedzeniem i piciem, jakie zawinął ze sklepu, a następnie zerknął za Nieznajomego na wielkiego jeepa, którym tu dojechał.

– Opuść broń – rozkazał mężczyzna, podchodząc do swojego pojazdu. Nicolas aż prychnął, nie mając najmniejszego zamiaru tego zrobić.

– I co? I strzelisz do mnie i mnie tu zostawisz! – zarzucił. – Nie jestem głupi. – Pokręcił głową, również podchodząc do samochodu. Otworzył drzwi od strony pasażera i wsiadł do środka, wciąż mierząc w nieznajomego. Pewnie gdyby oglądał tę scenę z boku, sikałby ze śmiechu, bo wyglądało to naprawdę dziwnie, kiedy nawet w samochodzie mierzył do mężczyzny z wielkiego karabinu, on odwdzięczał mu się celowaniem z małego pistoletu.

– Teraz odłóż.

– Chyba kpisz! – syknął w odpowiedzi Nicolas. Nie wiedział, ile to już trwa, ale siedzieli, nic nie mówili, tylko w siebie mierzyli. – Odkładamy na tylne siedzenia na trzy.

– Dobra. – Mężczyzna kiwnął głową, zgadzając się.

– Raz... – zaczął liczyć. – Dwa... – Patrzył uważnie na nieznajomego, jakby chcąc przewidzieć jego ruch. – Trzy! – krzyknął, jednak ani jedna broń nie wylądowała na miejscu pasażerów. – Oszukałeś! – zarzucił mu, niemal obrażony, zupełnie jakby sam tego nie zrobił.

– Ty też – odpowiedział mężczyzna spokojnie. Patrzył jeszcze przez chwilę Nicolasowi w oczy, aż w końcu westchnął niczym największy cierpiętnik i pokręcił głową. Odrzucił pistolet do tyłu, by zaraz posłać wyczekujące spojrzenie Northowi. – No? – pogonił, a Nicolas sapnął ciężko i wychylił się, żeby odłożyć karabin. – Brawo. Możemy ruszać – prychnął mężczyzna i cisnął jeszcze plecakiem na tylne siedzenia. Nicolas swoją torbę wziął pomiędzy nogi, chowając do niej mały pistolet i naboje. Nieznajomy odpalił samochód i już po chwili wyjeżdżali z opustoszałej stacji na równie pustą drogę. Jechali przez kilka minut w ciszy, co chwilę na siebie nieufnie zerkając.

– Too... Jak masz na imię? – zagadał wreszcie Nicolas, nie po to, żeby nawiązać z mężczyzną jakiś kontakt i bliżej go poznać, a po prostu, by nie milczeć. Gdy już z kimś spędzał czas, nie lubił siedzieć cicho. Był gadułą, potrafił mówić ciągle i nienawidził krępującej ciszy.

– Eric – odpowiedział mężczyzna i zapadła cisza. Przez chwilę znów jedynym dźwiękiem w samochodzie był pracujący silnik i ustawiona na najwyższe obroty klimatyzacja.

Obaj byli w bluzach, mimo że na zewnątrz panował trzydziestostopniowy upał. Powszechnie było jednak wiadome, że warto chronić się ubraniem przed



wydzielinami trupów, bo nie mieli pewności, czy poprzez kontakt z ich krwią, śliną lub na przykład ropą, nie istniało ryzyko zarażenia. Na szczęście pierwsze wyraźne objawy pojawiały się już po godzinie, więc nie trzeba było czekać na werdykt w nieskończoność. Odpowiedź przychodziła niemal od razu. Chronili więc swoje ciała, jak najbardziej mogli. Dopiero gdy znaleźli się w bezpiecznym miejscu, w tym wypadku w samochodzie, mogli pozbyć się grubych bluz i tak też zrobili. W końcu za długo nie dało się rady wytrzymać w takim gorącu, nawet jeżeli klimatyzacja pracowała na najwyższych obrotach.

– A ty? – zapytał w pewnym momencie Eric. Nicolas zauważył, że jego nowy współtowarzysz podróży (aż miał się ochotę roześmiać na to określenie, bo mężczyzna nie wydawał się zbyt przyjemnym osobnikiem) był bardzo wysportowany. Wcześniej pewnie albo pakował na siłowni, albo trenował jakiś sport, bo takie szerokie i umięśnione ramiona nie mogły wziąć się znikąd. Sam Nicolas był raczej szczupły, choć przez te trzy miesiące nabył dobrej kondycji. Jakoś tak się działo, że często musiał uciekać i stawał się w tym coraz lepszy. Był wysokim blondynem o bardzo jasnej karnacji, która przez tutejsze słońce nabrała nieco świńskiego koloru. Miał też pełno piegów, których chyba od zawsze nienawidził, bo były wszędzie. Jak zauważył w lustrze, nawet na tyłku i – co chyba jeszcze gorsze – pomiędzy pośladkami.

– Nicolas – odpowiedział. Mężczyzna kiwnął głową, nic już nie odpowiadając. Był raczej typem milczka, stwierdził Nicolas już po krótkiej obserwacji Erica. – Taki bardziej z ciebie człowiek czynu niż mowy, co? – zagadał w końcu, kiedy milczenie zaczęło dawać mu się we znaki. Naprawdę nie lubił ciszy i zazwyczaj wtedy na siłę wymyślał tematy do rozmowy, czasem nietrafione.

Eric rzucił mu zblazowane spojrzenie i prychnął, po czym powrócił wzrokiem na przednią szybę. W oddali zobaczyli na ulicy coś ciemnego. Nie mogli jednak jeszcze dojrzeć dokładnie, co to takiego, bo obraz rozmazywało rozgrzane powietrze.

– Nie zwalnij – powiedział do Erica, z autopsji dobrze wiedząc, że gdy już się zwolniło, trudno było wyjść z sytuacji cało. – To pewnie trup.

– Więc tak na nich mówisz – mruknął Eric pod nosem.

– A ty? Jak mówisz? – zapytał zaciekawiony.

– Zombie – odparł i wzruszył ramionami, na co Nicolas się zaśmiał i rozsiadł wygodnie w fotelu, patrząc na przednią szybę. Byli już na tyle blisko, że mogli

rozpoznać, czym był czarny kształt, który dostrzegli chwilę wcześniej. Nic innego, jak zwłoki zmierzające w stronę dźwięku, czyli w tym wypadku rozpędzonego samochodu do sporo ponad stu mil na godzinę. Nicolas z uznaniem zauważył, że chevrolet Erica był naprawdę porządnym samochodem. Ale i tak tęsknił już za swoim hummerem.

– Oryginalnie – prychnął North.

– A jak mam mówić? – odpowiedział. – W każdym filmie mówiono na chodzące trupy zombie. – Znów wzruszył ramionami. Akurat w tym momencie potrącili nieboszczyka, który odbił się od boku samochodu i poleciał gdzieś na pobocze. Nie zatrzymywali się jednak, tylko dalej jechali z podobną prędkością przed siebie.

– A nie chciałeś pokusić się o jakieś ciekawsze nazwy? – zagadywał dalej Nicolas.

– Daruj, ale „trupy” też nie są oryginalnym określeniem – prychnął Eric prześmiewczo i uśmiechnął się pod nosem krzywo. Nicolas aż się zapatrzył; w pierwszym momencie pomyślał, że się przewidział. Ten mężczyzna kojarzył mu się z Terminatorem, jasne więc, że nie podejrzewał go o coś tak ludzkiego jak uśmiech.

– Jeszcze mówię zwłoki. – Zaśmiał się, sam zaskoczony błahością tej rozmowy. Dawno takiej nie prowadził. Każda do czegoś prowadziła i każda miała swój cel, czy to wskazanie drogi, zapytanie o sytuację w najbliższym mieście albo, co zdarzało się mu najczęściej, prośba o darowanie życia.

– Zaskakujesz mnie. – Eric spojrzał na niego i zaśmiał się, kręcąc głową z rozbawieniem.

– Wow, to ty umiesz się śmiać – zauważył Nicolas, ciągnąc luźną pogawędkę dalej. Teraz, kiedy miał możliwość odprężenia się, nie chciał z tego rezygnować. Bo kto wie, czy jeszcze nadarzy mu się druga taka okazja.

– No. Jeszcze się nie zaraziłem. Żyję, jestem w pełni człowiekiem, więc umiem – prychnął Eric i przewrócił oczami, markotniejąc.

– Nie no. Po prostu wbiłeś do tego sklepu jak taki Chuck Norris czy inny Bruce Lee i dałeś do zrozumienia, że z tobą żartów nie ma – powiedział Nicolas i nieskrępowany wyciągnął nogi na deskę rozdzielczą.

– I dobrze. Nie przyzwyczajaj się. Pamiętaj, do pierwszego samochodu – przypomniał, a w jego tonie nie było już słyhać nic z rozbawienia. Był rzeczowy i

jasno dający Nicolasowi do zrozumienia, że ten układ jest tylko tymczasowy.

– Jasne, jasne – prychnął i pomachał ręką w zbywającym gościu. – Jestem wolnym strzelcem. Wiesz, kowbojem samotnie przemierzającym szlaki stepów pustynnych. – Zarechotał, wybitnie zadowolony ze swojego genialnego żartu. Zdziwił się jednak, gdy zauważył, że Eric uśmiechnął się pod nosem, najwidoczniej rozbawiony jego dowcipem niskich lotów.

– I dajesz radę sam? – zapytał w pewnym momencie mężczyzna, zerkając na Nicolasa całkowicie poważnie, na co ten tylko wzruszył obojętnie ramionami.

– Lepiej samemu niż z kimś – stwierdził luźno, patrząc na drogę. Wyminęli prażącego się na słońcu, rozjechanego albo zżartego (tego nie mogli określić po tym, co zostało) psa, nie zwalniając ani na chwilę. Cisza i pustostan, jaki ich otaczał, był dosyć przerażający, ale Nicolas zdążył się już nauczyć, że lepsze to niż rżenie i idący w jego stronę trup na horyzoncie. Albo jeszcze gorzej – banda trupów. Jednego było łatwo się pozbyć, wystarczył celny strzał w głowę, jednak gdy zbierało się ich więcej, sytuacja robiła się mniej ciekawa. Potrafiły człowieka otoczyć, mimo że na pewno nie robiły tego umyślnie, w końcu one nie myślały.

– Dlaczego tak uważasz? – zapytał mężczyzna. – To nie są czasy, gdzie da się przeżyć samemu – powiedział wyniośle i spojrzał na niego jak na buntującego się dzieciaka. Nicolas już wcześniej zauważył, że Eric traktował go z pobłażaniem, teraz tylko się to uwypukliło. Kpił z niego.

– Myślisz, że gdybym miał jeszcze kogoś, byłbym bezpieczniejszy? – prychnął rozłoszczony. – Otóż nie. Bo musiałbym martwić się nie tylko o siebie, a jeszcze o jakiegoś idiotę, a to mogłoby mnie wpędzić do grobu. Szczególnie – zaznaczył – w tych czasach.

– Nie chodzi o bycie bezpieczniejszym. – Eric pokręcił z politowaniem głową. – A o możliwość zaufania komuś. Bycie samotnym jest gorsze od chordy zombie.

– Teraz nie można ufać nikomu, poza sobą samym – stwierdził filozoficznie. – A ty? Masz kogoś? Swoją grupę, stado, watahę, czy jak to tam nazwać?

Eric nie odpowiedział. Milczał jak zaklęty, nawet nie patrząc na Northa. Wyglądało na to, że skupił się na drodze, chociaż ta była prosta i raczej mało prawdopodobne, żeby cokolwiek miało im na nią wyskoczyć. W oddali też nic nie było widać, żadnego trupa, zepsutego samochodu, ani porozjeżdżanych czy rozszarpanych zwierząt. Ciągnęły się przed nimi, zdawałoby się, że w

nieskończoność, dwa pasy ruchu oddzielone pomarańczowymi, przerywanymi liniami.

Nagle ciszę przerwał charakterystyczny dźwięk łączącego się walkie-talkie. Nicolas od razu spojrzał na czarne, profesjonalne urządzenie, jakie leżało na desce rozdzielczej, obok kierownicy. Eric momentalnie po nie sięgnął.

– Co się dzieje? – zapytał i samochód zaczął zwalniać. Nicolas aż się rozejrzał dookoła, gdy zdał sobie sprawę, że nie jadą, a toczą się.

– Dlaczego zwolniłeś? – prychnął do Erica. Ten tylko uciszył go dłonią.

– Zoe? Jesteś tam? – mówił do urządzenia. – Zoe, odpowiedz, proszę – powiedział znowu, gdy nacisnął guzik przekazu.

– Boję się – szepnął jakiś cienki głosik przerywany szumem odbiornika. – Coś tam jest. I drapie... – Nicolas spojrzał na czarne walkie-talkie ze zdziwieniem. Po głosie mógł poznać, że mówiło dziecko. Eric miał córkę?

– Już jadę – obiecał, a Nicolas z łatwością mógł zauważyć, że mężczyzna był zdenerwowany. Zaciskał mocno dłonie na kierownicy i automatycznie przyspieszył.

– Pilnuj, żeby Mulan nie szczekała – dodał jeszcze, a gdy otrzymał odpowiedź, odłożył aparat z powrotem na deskę rozdzielczą. – Później zajmę się tym samochodem – zwrócił się do Nicolasa, a ten zmarszczył brwi.

– Kto to był? – zapytał, sam się dziwiąc, dlaczego go to zainteresowało. Eric milczał przez chwilę, wpatrując się w drogę. W pewnym momencie dojechali do rozwidlenia, a on skręcił w prawo, w piaszczystą dróżkę. Okolica powoli zaczynała się zmieniać. Nie był to już tylko pustynny step, napotykali coraz więcej roślin.

Eric nie odpowiedział, był zbyt zamyślony. Wpatrywał się w drogę ciągnącą się przed nimi, zupełnie się wyłączając.

– Ile ma lat? – Nicolas jednak nie ustępował i pytał dalej, chcąc cokolwiek z niego wyciągnąć.

– Osiem – mruknął. – Słuchaj, jeżeli zauważę, że jesteś zagrożeniem... Że chcesz coś zrobić, nie zawaham się, rozumiesz? – zapytał i zerknął na niego szybko, posyłając mu groźne spojrzenie, przez które Nicolasa aż przeszedł dreszcz.

– Jasne – powiedział i wzruszył ramionami. – Nie jestem żadnym pieprzonym mordercą – prychnął.

– Teraz każdy nim jest – odparł Eric i spojrzał na niego znacząco. Nicolas nie odpowiedział, bo musiałby mu przyznać rację. Każdy myślał tylko o przeżyciu,

nawet on sam, ale bynajmniej nie miał zamiaru zabijać jakiejś dziewczynki. To byłoby najgorsze, czego mógłby się dopuścić. Zresztą, nie miał przecież powodów, Eric mu pomagał, nawet jeżeli to przez niego stracił samochód.

– Gdzie jest wasza... kryjówka? – zapytał.

– W starym schronie przeciwatomowym – powiedział i westchnął. – Myślałem, że tam jest bezpiecznie, bo nawet klapy od niego nie widać. Byłem pewny, że jest bezpiecznie, cholera... – sapnął, najprawdopodobniej nie zdając sobie sprawy, że się otwierał przed nieznanym. Był zbyt zdenerwowany i skupiony na jak najszybszym dotarciu do miejsca. W pewnym momencie skręcił w jeszcze mniej wyjeżdżoną dróżkę i jechał przed siebie jakieś dziesięć minut. Obaj zauważyli trzy trupy klęczące na ziemi i drapiące w coś, co, jak Nicolas podejrzewał, było klapą od schronu.

– Kurwa – zaklął Eric i wychylił się do tyłu, po plecak. Nicolas złapał za swój karabin, bo zwłoki spojrzały na ich samochód i chwiejnie podniosły się z ziemi, zmierzając powoli w ich stronę, a jedno z nich ciągnęły za sobą przetrąconą nogę. Kiedyś jeszcze go to przerażało i obrzydzało, jednak po trzech miesiącach życia w takich realiach, gdy spotykał rozkładające się ciała niemal codziennie, stało się to po prostu normalne. Zabawne, jak człowiek może przyzwycząić się do rzeczy, które wcześniej uważałby za odrażające i, co najważniejsze, jak w walce o przetrwanie łatwo zatracić człowieczeństwo.

– Nie strzelaj – powiedział groźnie Eric i wyciągnął z plecaka maczetę. – Pod fotelem masz siekiere – mówił, zakładając na siebie bluzę. Mieli trochę czasu, bo trupy nie były szybkie. Dwa szły z przodu, a trzeci, ten z przetrąconą nogą, włókł się za nimi, wyciągając przed siebie zaropiałe i gnijące dłonie. – Ja biorę tego z prawej, ty z lewej. Ostatni nie dojdzie za szybko, ale będę zwinniejszy z maczetą, niż ty z siekiere, więc zostaw go mi – poinstruował, a Nicolas jedynie kiwnął głową. Założył na siebie niebieską bluzę z logo swojej ulubionej drużyny hokejowej – New York Rangers – i jeszcze naciągnął kaptur. Nim jednak wysiadł z samochodu, złapał za pistolet. Zawsze wolał mieć go przy sobie, nawet jeżeli nie potrafił nim zbyt wiele działać. Zresztą, lepiej czasem strzelić i narazić się na ściągnięcie większej ilości trupów (bądź, co gorsza, żyjących ludzi), ale mieć jakąś szansę ucieczki, niż zginąć na miejscu.

Podszedł do Erica i spojrzał kątem oka na jego skupiony wyraz twarzy. Mężczyzna nagle złapał go za nadgarstek, żeby pociągnąć do przodu. Trupy też

spróbowały przyspieszyć, jednak najwidoczniej ciężko się biega, gdy ciało jest martwe. Zmieniły nieco szyk, w jakim szły w ich stronę. Pierwszy wysunął się bardziej na przód i teraz człapały jeden za drugim.

– Biorę zombie z przodu, ty od razu drugiego. Będziesz miał więcej czasu na zamachnięcie się – ponownie go poinstruował i dał mu znak, że to jest ten czas, kiedy pozbywają się problemu. Eric rzucił się na pierwszego, od razu wbijając mu naostrzoną maczetę w głowę. Nicolas zaatakował chwilę później, roztrzaskując czaszkę trupa na pół. Szybko zdał sobie sprawę, że plan Erica co do zaatakowania trzeciego był słuszny. Trudno byłoby mu błyskawicznie przygotować się z siekierą do kolejnego zamachnięcia się. Prawdopodobnie sprostałby temu zadaniu, jednak zawsze pozostawało ryzyko. Rozwiązanie Erica było znacznie bezpieczniejsze dla Nicolasa.

– Nie było tak źle – sapnął Nicolas i rzucił siekierę na piasek, żeby ściągnąć bluzę. Panował naprawdę olbrzymi upał, aż miał wrażenie, że zaraz z tego wszystkiego się roztopi.

Mężczyzna w odpowiedzi kiwnął głową i rozejrzał się dookoła.

– Zostań tu – mruknął i ruszył biegiem w kierunku klapy od starego schronu. Podniósł ją i już po chwili zniknął w dziurze. Nicolas przeklął siarczyście pod nosem, zły, że zostawił go na środku pustyni samego. Spojrzał na samochód z zastanowieniem. Mógłby go teraz ukraść, Eric nie zdążyłby zareagować, gdyby wsiadł do pojazdu i odjechał. Nagle jednak poczuł, że jeśli by to zrobił, postąpiłby bardzo nie fair.

– Ja pierdołę – przeklął na głos i przeczesał dłonią swoje jasne, ale zabrudzone od kurzu włosy. Nie rozumiał, dlaczego miał takie poczucie przyzwoitości. Jeszcze wczoraj nawet by się nie zastanawiał, tylko od razu przeszedł do czynu. Co z tego, że Eric też nie musiał mu pomagać na stacji. Był naiwny, to mu pomógł, teraz powinien dać mu nauczkę, że nie można nikomu zaufać, nie w tym świecie. Ale jednak czekał jak ten głupi, prążąc się na środku pustyni, aż w końcu zobaczył małą dziewczynkę wychodzącą z bunkra. Zaraz za nią pojawił się pies, wielki, skundlony wilczur, którego Eric wynosił po drabinie.

Nicolas stwierdził, że nie będzie stał przy gnijących cielskach i ruszył w ich kierunku. Dziewczynka spojrzała na niego dosyć nieufnie, a pies warknął, jeżąc się i pokazując zęby, więc od razu się zatrzymał. Nie potrafił powstrzymać skrzywienia;

nigdy nie lubił tych zwierząt.

– Spokojnie – mruknął Eric i klepnął psa lekko w kark. Suka spojrzała na niego i zamachała szybko ogonem, więc Nicolas nie widząc już zagrożenia, że zginie od zwierzęcych kłów, a nie od zarażenia się wirusem, podszedł do nich. Stworzenie dalej łypało na niego nieufnie, śledząc każdy ruch.

– Gdzie jedziemy? – zapytała dziewczynka, patrząc na Erica, który właśnie wyniósł ze schronu wielką torbę.

– Poszukać jakiegoś bezpiecznego miejsca – odpowiedział i uśmiechnął się do niej. – Idźcie do samochodu, co? – zapytał i zerknął jeszcze na Nicolasa. – Muszę zabrać jeszcze kilka rzeczy. Zaopiekujesz się nimi?

– Nie jestem niańką – prychnął w odpowiedzi i założył ręce na piersi, na co pies znowu się najeżył. Eric nic nie odpowiedział, tylko zacisnął usta, spoglądając na Nicolasa z zastanowieniem, po czym znowu zszedł po drabinie do schronu. Nicolas odetchnął ciężko, zerkając z niechęcią na dziewczynkę, która nagle ruszyła w stronę samochodu. – Ej, a ty gdzie? – zapytał zły, marszcząc brwi. Nienawidził dzieci i psów, dlaczego, do cholery, miałby teraz się nimi zajmować?, myślał, patrząc chwilę za nimi. Nie lubił też Erica, był z nim tu tylko dlatego, bo nie miał własnego pojazdu. I to jeszcze z nie swojej winy! Cholera, nie powinien mieć oporów przed skradzeniem mu samochodu, wyrzucał sobie w duchu i w końcu ruszył za dzieckiem do jeepa.

W pewnej chwili, jakąś milę od nich zauważył wzbijające się w powietrze tumany kurzu. Zmrużył oczy i momentalnie zrozumiał. Działał dosyć instynktownie, bo złapał dziewczynkę w pasie i niemal wrzucił ją do samochodu, tylko cudem unikając pogryzienia przez psa, który już miał złapać go za rękę.

– Weź tego kundla i połóżcie się na podłodze! – syknął. Dziewczynka spojrzała na niego i zawołała drżącym głosem zwierzę. Nicolas spojrzał jeszcze w załzawione i przestraszone oczy dziecka, po czym sam wszedł na tylne siedzenie i szybko spuścił szybę w drzwiach. – Uważaj, żeby mnie nie ugryzł – warknął, po czym złapał za karabin Erica leżący na siedzeniu. Na szczęście dla Nicolasa, miał lunetę. Szybko go załadował i modlił się, by nie miał zbyt dużego odrzutu. Nie znał się zbyt dobrze na broniach, ale miał świadomość, że musi zacząć działać, bo jeżeli teraz nie zajmie się nadjeżdżającym w ich kierunku samochodem, może skończyć marnie. Wiedział, że im nikt nie dałby szansy na przeżycie, a gdyby doszło do konfrontacji, zginąłby

pierwszy. Zabili by ich jak psy, wywlekli ciała z wozu i zabrali wszystko, co mieli. Nawet te pierdolone chipsy, które zwinął ze stacji, pomyślał, starając się usprawiedliwić to, co właśnie robił. Dlaczego on miałby mieć wyrzuty sumienia, skoro nikt inny ich nie miał? Nigdy nie zabił człowieka, pomyślał, gdy celował w głowę osoby prowadzącej pojazd. Palec zadrgał mu na spuście. Zawahał się, jednak kiedy w luncie zobaczył, że mężczyzna wyciąga pistolet i zaczyna również w nich celować, przestał zastanawiać się, czy to dobre posunięcie. Po prostu strzelił, a kulka przebiła przednią szybę nadjeżdżającego wozu. Samochód nagle zjechał z piaszczystej drogi prosto na nierówny, grząski teren. Nicolas wycelował z karabinu jeszcze raz, gdy pojazd zatrzymał się. Odczekał chwilę, czując, jak serce łomocze mu w piersi, a krew szumi w uszach. Właśnie zabił człowieka, pomyślał i przełknął zgęstniałą ślinę. Przed oczami mu lekko pociemniało; zaczął się zastanawiać, czy to było potrzebne. Czy dobrze postąpił.

Każdy zabija, do cholery, zganił się, starając opanować drżenie rąk. Zrobiło mu się niedobrze. Co innego pozbywać się trupów, a co innego zabijać ludzi. Wiedział, że teraz gwarancją na przeżycie było bycie bezlitosnym. Jeszcze niedawno myślał, że kiedy zajdzie taka potrzeba, zabije człowieka bez mrugnięcia okiem.

Był słaby. Wmawiał sobie, że potrafi przeżyć sam, udawał bezlitosnego i obojętnego na wszystko. Nieprawda. Nie potrafił pozbawiać życia bez wyrzutów sumienia.

Jego rozmyślenia przerwał huk wystrzału z karabinu. Aż się odsunął od okna i przykleił plecami do oparcia siedzenia. Oddychał ciężko, nagle żałując, że nie pozbył się drugiej osoby. Do jego uszu dobiegło pochlipywanie. Spojrzał na dziewczynkę wtulającą twarz w kark psa i trzymającą się kurczowo jego sierści. Jeżeli teraz nie zareaguje, mogą zginąć. *Wszyscy*, pomyślał, ignorując złośliwy głos w głowie podpowiadający mu, że przecież nawet nie lubił dzieci. Wychylił się nieco ponad linię siedzeń i przyłożył oko do lunety. Z samochodu nikt nie wysiadł, zauważył za to wystawioną w ich stronę lufę broni. Nie wahał się już i nacisnął spust.

Obserwował przez chwilę otoczenie, będąc przygotowanym na wszystko. Nawet nie wiedział, ile czasu minęło, gdy nagle drzwi samochodu otworzyły się i silna ręka niemal wywlekła go z pojazdu.

– Co ty, kurwa, robisz?! – wrzasnął na niego Eric. Nicolas spojrział na niego przerażony, sam nie wiedząc, dlaczego drżał. Był roztrzęsiony. Odepchnął od siebie



mężczyznę, zdając sobie sprawę, jak żałośnie musiał w tamtej chwili wyglądać.

– Dupę ratuję twojemu dziecku! – odkrzyknął i wskazał na samochód stojący dalej. Nie brzmiał tak niepewnie, jak się czuł. Aż pogratulował sobie tego swojego opryskliwego tonu, po którym nie dało się rozpoznać, że tak naprawdę był zdenerwowany. I słaby. Tak bardzo słaby psychicznie, że aż go to przerażało.

Eric spojrział na czarnego jeepa zszokowany, a następnie przeniósł wzrok na Nicolasa. Przełknął ślinę i kiwnął głową.

– Dzięki – mruknął, zaglądnąwszy do samochodu. Nicolas parsknął, bardziej poirytowany swoją reakcją na myśl, że zabił człowieka, niż skromnym podziękowaniem Erica.

– Super, to teraz pomożesz mi wywlec ciała – aż przeszedł go dreszcz, gdy to powiedział – z samochodu. Mam pojazd, więc możemy się rozstać – mruknął, zakładając ręce na piersi. Mężczyzna w odpowiedzi kiwnął głową i powiedział do dziewczynki, żeby czekała na niego w samochodzie. Złapał jeszcze za karabin, którym strzelał Nicolas, i razem ruszyli do zamarłego w bezruchu jeepa. – Wygląda dobrze – ocenił z daleka, tylko dlatego, by coś powiedzieć.

– Tak – odparł skromnie Eric i zamilkł, jak zwykle nie mówiąc zbyt dużo. Nicolas aż odetchnął z frustracją i odgarnął za długą grzywkę z czoła. Był spocony, zmęczony i marzył tylko o prysznicu. Nie mył się od kilku dni, podejrzewał więc, że nie pachniał zbyt przyjemnie. Pocieszał go jednak fakt, że zapach Erica też nie należał do najładniejszych.

Podeszli do samochodu, a Nicolas aż się skrzywił, kiedy zobaczył, że rozpryskane kawałki mózgu i czaszki znajdowały się dosłownie wszędzie. Powstrzymał odruch wymiotny i od razu odwrócił się tyłem do pojazdu, a przodem do Erica. Z całych sił starał się nie wyglądać na kogoś poruszonego tym obrzydliwym widokiem. *Przez trzy miesiące patrzę na gnijące trupy, a brzydzi mnie widok świeżych kawałków mięsa*, pomyślał, zły na samego siebie za taką reakcję.

– Nie pojedę tym samochodem – powiedział. – Nie doczyszczę go. Szybko przy takich temperaturach zacznie śmierdzieć. – Założył ręce na piersi. Eric tylko obdarzył go trudnym do odgadnięcia spojrzeniem i podszedł do drzwi od strony kierowcy. Otworzył je i zajrzał do środka.

– Benzyna im się kończyła – mruknął i wycofał się. Zaciśnął usta w wąską linijkę, spoglądając jeszcze na ciało kierowcy. – Zabiliby was – stwierdził oczywisty

fakt, kiedy patrzył na karabin w nieruchomych rękach pasażera.

– Tak, doskonale o tym wiem – odparł Nicolas i podszedł do niego. Wstrzymując oddech, wyciągnął kluczyki ze stacyjki. Obszedł samochód, by podejść do bagażnika. – Gdyby nie chcieli tego zrobić, zawróciliby – powiedział, próbując się tym samym usprawiedliwić. Musiał ich przecież zabić, nie miał innego wyjścia. Kiedy otwierał drzwi od kufra, spojrzał na Erica. Mężczyzna z zastanowieniem zerkał na swój samochód, z którego wyszła jego... córka? Siostra? To, kim dla niego była dziewczynka, wciąż pozostawało dla Nicolasa zagadką. – Jak ma na imię? – zapytał. Nie pamiętał już, jak Eric się do niej zwracał, nigdy nie miał dobrej głowy do imion.

– Zoe – powiedział i odwrócił się przodem do niego. – Mają tam coś? – Podszedł do Nicolasa i nachylił się do bagażnika. Wyciągnął jedzenie, broń i naboje. – Sporo tego – mruknął, przeglądając torbę całą załadowaną amunicją i pistoletami.

– Zabij albo zgiń, nie? – prychnął Nicolas i sięgnął po trzy pięciolitrowe butle z wodą. – To się przyda – stwierdził, a Eric kiwnął głową, przeglądając jeszcze zawartość bagażnika.

– Chcesz się jeszcze odświeżyć przed wyjechaniem stąd? – zapytał nagle i spojrzał na Nicolasa.

– Jezu, marzę o tym – odpowiedział od razu i kiwnął głową, szczerząc się jak dziecko. Eric, najwidoczniej zaskoczony tym nagłym entuzjazmem, odpowiedział na uśmiech i złapał za torby, żeby je przenieść do ich samochodu.

– Jestem ci wdzięczny – mruknął cicho w pewnym momencie, gdy taszczyli rzeczy. Nicolas zerknął na niego kątem oka, nagle znów czując przyływ pewności siebie. Eric miał u niego dług, a on uwielbiał stawiać ludzi w takiej sytuacji; wiedział, że będzie mógł wyciągnąć z tego sporo korzyści.

– Jasne. A co z tym odświeżeniem?

– Mam w schronie kilka baniaków z wodą, ale nie nadaje się do picia. Sam chciałem jej użyć do wykąpania się – powiedział, kiedy pakowali torby do bagażnika. Zoe podeszła do nich, trzymając psa za obrozę. Była dosyć niską i chudą dziewczynką z zadartym nosem i ciemnymi, sięgającymi ramion włosami związanymi w kitkę. Ubranie, jakie miała na sobie, było mocno pobrudzone i zniszczone, jednak mimo to miała czystą buzię, zupełnie odwrotnie do jej opiekuna, który wyglądał, jakby wytarzał się w piasku.

– Ale nie zostanę tam sam – powiedział od razu do Erica. – Odjedziesz – prychnął. – I zostawisz mnie samego na pieprzonej pustyni.

Eric westchnął i kiwnął głową, nie mówiąc już nic, a jedynie usadził psa w cieniu, nalał mu do blaszanej miski wody i wydał komendę. Zwierzę, ku zdziwieniu Nicolasa, posłuchało. Położyło się i pilnowało samochodu.

– Jak coś się dzieje, Mulan szczeka – powiedziała Zoe, wlepiając w niego swoje duże, ciemne oczy, które były niemal identyczne jak Erica.

– To twoje dziecko? – zapytał Nicolas, zwracając się do mężczyzny, zupełnie jakby dziewczynki nie było w pobliżu albo jakby była tak mała, że nie mogłaby zrozumieć.

– Eric jest moim bratem – odpowiedziała mu i wbiła w niego butne spojrzenie. Nicolas aż uniósł brwi i kiwnął głową.

– Nie macie żadnej rodziny? Mama? Tata? – zadał kolejne pytanie, kiedy szli w kierunku schronu. Eric tylko wzruszył ramionami, najwidoczniej nie mając ochoty odpowiadać. Z pomocą przyszła mu jednak Zoe, która musiała poczuć się bardzo zlekceważona przez Nicolasa.

– Mama nie żyje od dwóch lat i właśnie jedziemy do taty. Tata wyjechał do Miami, bo dostał pracę.

Nicolas aż uniósł brwi. Miami było na drugim końcu kraju. Coś nie spieszyło im się do tego ojca, skoro tkwili w Wyoming. Nie powiedział jednak nic, bo stwierdził, że nie chce mu się mieszać w nieswoje sprawy. Miał swoje kłopoty... A raczej ich nie miał. Po prostu krążył sobie po USA i szukał. Czego? Tego sam do końca nie wiedział, może bezpiecznego miejsca, w którym mógłby się zatrzymać, może schronienia na chwilę, by później znowu wyruszyć. Nie miał rodziny, jego mama zmarła przy porodzie, ojciec zginął w wypadku, a babcia umarła dwa lata temu, kiedy poszedł na studia. Był sam, ale nie narzekał, zdał sobie już sprawę, że potrafił poradzić sobie bez niczyjej pomocy. Nawet jeżeli czasem bywał nieudacznikiem i tchórzem. Wciąż jednak żył, a to coś znaczyło. Miał stuprocentową pewność, że te trzy miesiące przetrwał dzięki swojemu egoizmowi. W końcu, jak to się mówi, skurwiele żyją najdłużej.

Zeszli we trójkę do schronu. Tu było przyjemnie chłodno przez betonowe, trochę już kruszące się, naznaczone czasem ściany. Eric kazał Zoe usiąść w kącie i odwrócić się. Najprawdopodobniej nie chciał jej już zostawiać samej, wolał mieć

pewność, że nic jej nie jest. *I to właśnie pociągnie cię do grobu*, pomyślał Nicolas, kiedy zdejmował przeпоcone ubranie i zaczął się obmywać nad miską.

– Oddałbym życie za szczoteczkę do zębów i pastę – sapnął w pewnym momencie, kiedy opłukiwał twarz. Nagle coś dźgnęło go w ramię. Spojrzał w bok na półnagiego Erica.

– Jesteś mi teraz winny życie – mruknął, podając mu rzeczy, o które prosił. Nicolas spojrział na jego ciało, które świetnie prezentowało się w półmroku, jaki panował w schronie. Eric był dobrze zbudowany, miał szerokie ramiona i pierś.

– Skąd to? – zapytał Nicolas, mimowolnie wyciągając do niego dłoń, by przesunąć palcem po rozległej, czerwonej bliźnie na jego żebrach.

– Z drugiego dnia wybuchu zarazy – odparł i spojrział na szramę. – Jakiś idiota zaatakował mnie nożem, dobrze, że tylko skórę rozciął. – Nicolas jedynie kiwnął głową i wrócił do dalszego mycia się.

– Masz może jeszcze golarkę? Zaczynam zarastać.

\*\*\*

Umycie się było czymś, czego Nicolas potrzebował. Gdy wsiadał z powrotem do samochodu, czuł, że teraz to już może stawić czoła wszystkim zarażonym. Chociaż może i nie wszystkim... A właściwie to najlepiej, żeby nie spotkał na swojej drodze ani jednego, bo wtedy prawdopodobnie zaczęłyby uciekać i znów by się spocił.

– To gdzie chcesz jechać? – zapytał Eric i nim ruszył, włączył klimatyzację na mocniejsze obroty. Nicolas jeszcze wyjrzał za okno; zaczynał mieć dosyć tego pustynnego krajobrazu i powoli tęsknił za Nowym Yorkiem. Tam nie było aż tak gorąco.

– Nie wiem – powiedział Nicolas z zastanowieniem. – Jadę po prostu przed siebie. – Wzruszył ramionami i rozsiadł się w fotelu, a Zoe spojrzała na niego czujnie z tylnego siedzenia.

– Nie masz żadnego celu? – zapytała. Nicolas aż uniósł brwi, zdziwiony, i obejrzał się na dziewczynkę.

– Jasne, że mam – odparł. – Przeżyć – mruknął i westchnął, zerkając na lusterko, w którym widział odbicie dyszącego psa. – Jak się wabi?

– Mulan – odpowiedziała mu dziewczynka i poklepała psa. – Bez niej byśmy

nie żyli – dodała i pochyliła się, żeby pocałować łeb wilczura, który położył po sobie uszy i zamerdał ogonem.

Nicolas spojrział z zaciekawieniem na Erica, chcąc usłyszeć tę historię. Mężczyzna jednak milczał jak zakłęty, dlatego też postanowił wymusić na nim odezwanie się. Całkiem nieźle już mu to wychodziło, w końcu zdążył zauważyć, że z Erica trzeba było wyciągać informacje, gdyż dobrowolnie zbyt wiele by nie powiedział.

– Więc, co ta Mulan takiego zrobiła, że żyjecie?

– Rzuciła się na pierwszego zarażonego, który nas zaatakował – odpowiedział, nie patrząc na rozmówcę, tylko na drogę. Nicolas tylko westchnął ciężko i odwrócił się do dziewczynki. Wydawała się o wiele bardziej chętna do prowadzenia konwersacji niż jej brat. Może nawet ją polubi... A może nie. Nie zastanawiał się nad tym.

– Twój brat nie jest zbyt rozmowny, co? – zagadał.

– A daj spokój – prychnęła i machnęła ręką. – Potrafi siedzieć cicho przez kilka godzin – mruknęła i wydeła usta w niezadowoleniu. Eric spojrział na nią w lusterku, jednak dalej milczał. – A tobie się nie nudzi, jak nikogo nie masz? – zapytała.

Nicolas wzruszył obojętnie ramionami. Czasem mówił sam do siebie, ale tego nie miał zamiaru zdradzać, bo wyszedłby na idiotę. Naprawdę nie lubił ciszy i zazwyczaj, gdy prowadził, to albo śpiewał, albo mamrotał coś pod nosem.

– Tak mi lepiej – powiedział. – Bezproblemowo.

– Nie wiem, czy tak bezproblemowo – odezwał się nagle Eric, wciąż nie patrząc na niego. – Gdybym nie pojawił się na stacji, zostałbyś zeżarty żywcem – prychnął i zacisnął dłonie na kierownicy, co nie umknęło uwadze Nicolasa.

– Ja ci później też uratowałem życie. Dwa razy. I jeszcze twojej siostrze, więc mi łaskawie nie wytykaj, co? – prychnął, czując, jak zaczyna się irytować.

– Nie wytykam – odparł. – Widzę tylko, że jesteś przekonany, że lepiej ci samemu. To ci odpowiadam, że nie. Bo czasem warto mieć kogoś, komu możesz zaufać.

– Kogo? Małą dziewczynkę i psa? – prychnął Nicolas z rozdrażnieniem.

– Tak, małą dziewczynkę i psa – odparł mu Eric i rzucił groźne spojrzenie. Szybko jednak powrócił wzrokiem do drogi. – Nawet nie masz pojęcia, ile zawdzięczam Zoe i Mulan.

– Ale ty im ufałeś już wcześniej, przed wybuchem zarazy – powiedział, czując, jak coś go ściska w gardle. Eric zaczynał go poważnie denerwować. – Nie zauważyłeś może, że teraz nie można już nikomu zaufać?

– Czyli co? Mam cię wyrzucić na środku pustyni, bo nie mogę ci zaufać? – zapytał poważnie, też podnosząc głos. Zoe patrzyła to na jednego, to na drugiego ze zdezorientowaniem. Nie wtrącała się jednak, tylko uspokajała warczącą pod nosem Mulan.

– Tego nie powiedziałem!

– Powiedziałeś! Dokładnie tak powiedziałeś! – syknął i uderzył dłonią w kierownicę. – Kurwa, mimo że uratowałeś Zoe, dajesz mi powody, żebym zaczął się zastanawiać nad pozbyciem się ciebie.

Nicolas aż przełknął ślinę, nie chcąc nawet myśleć o tym, że mógłby wylądować na środku pustyni bez chociażby wody. Nie odpowiedział, tylko wpatrzył się w szybę, zaciskając wargi w wąską linię.

– Czyli co? Mam rację? – dopytał Eric.

– Nie – prychnął. – Nie myślisz może, że na pozbycie się was miałem już wiele okazji?

– Właściwie to czemu Eric cię zabrał? – Kłótnię nagle przerwała Zoe, patrząc na nich z zaciekawieniem i głaszcząc kark psa. Nicolas prychnął i odwrócił się do niej.

– Bo twój genialny brat rozwalił mi opony – odpowiedział.

– Musiałem – warknął, patrząc na niego groźnie.

– Musiałeś? Nic nie musiałeś!

– Co, jeżeli później byś za mną pojechał? – prychnął Eric, ścisząc już głos.

– Ale i tak mnie zabrałeś – mruknął z zastanowieniem Nicolas. Mało kto by tak postąpił, prędzej spróbowałby się go pozbyć.

– Bo groziłeś mi bronią – odparował Eric takim tonem, jakby to nie było oczywiste. Nicolas tylko przewrócił oczami i zatopił się w fotelu, patrząc na niezmienną się widok za oknem. W pewnym momencie zauważyli dwie ciemne postacie oddalone od drogi o jakąś milę. Kiedy usłyszały nadjeżdżający samochód, zmieniły kierunek, w jakim podążały.

– To straszne. – Usłyszeli głos Zoe, która uważnie obserwowała zarażonych do momentu, aż ich nie minęli. – Myślicie, że oni wewnątrz są jeszcze ludźmi?

– Nie – odpowiedział od razu Nicolas, a Eric spiorunował go wzrokiem. – No co? – prychnął. – Oni już nie żyją – zwrócił się do Zoe. – Nie wiem, na jakiej zasadzie ta choroba działa – nikt chyba nie wiedział, skoro wybuchła taka epidemia, pomyślał – ale to coś sprawia, że chodzą i zabijają, rozsiewając wirus, czy co to tam jest, dalej. To wygląda jak podtrzymanie gatunku – mruknął z zastanowieniem, a Eric wpatrzył się w niego.

– Dokładnie – odparł i kiwnął głową, przyznając mu rację. Nicolas uśmiechnął się do niego, ale już nic nie odpowiedział; przez chwilę jechali w ciszy, ale ta, jak zwykle zresztą, zaczęła go męczyć.

– Masz jakieś nagrania z muzyką? – zapytał.

– Coś było w schowku – odpowiedział, wyjeżdżając na drogę asfaltową. – Nie wiem, to nie mój wóz. – Wzruszył ramionami, a Nicolas już pochylał się, żeby przejrzeć zawartość skrytki. Wyciągnął jedną płytę i aż się uśmiechnął.

– Sprawdźmy – mruknął, wsuwając krążek do odtwarzacza. Pobawił się trochę jego gałkami i guzikami, nim zdążył go rozpracować. Nigdy nie znał się na tego typu sprzęcie, potrafił się odnaleźć tylko wtedy, jeżeli urządzenie było jego, a on miał już za sobą lata użytkowania go. Nie lubił dotykać się niczego nowego, całe jednak szczęście odtwarzacze w samochodach zazwyczaj działały na podobnych zasadach. Już po chwili więc z głośników popłynęły pierwsze akordy piosenki, a uśmiech Nicolasa, o ile to jeszcze możliwe, powiększył się. Zapukał w podłokietnik w rytm utworu.

– No nie wierzę, jakie szczęście! – Zaśmiał się. – *Oh, baby, baby it's a wild world. It's hard to get by just upon a smile* – zanucił refren, a Eric spojrzał na niego kątem oka, nieco zdziwiony.

– Nie śpiewasz tak źle – zauważył szczerze zaskoczony Eric. Po piskliwym głosie Nicolasa, raczej spodziewał się także raniącego uszy śpiewu. Cudów może i nikt nie doznał, ale zdecydowanie przyjemniej słuchało się go wraz z Catem Stevenssem, niż opowiadającego w pojedynkę jakąś kolejną historię.

– Kiedyś ćwiczyłem – odparł. – Jezu, uwielbiam tę piosenkę – mruknął i zrobił głośniejsze w momencie, gdy znów wszedł refren.

– *Oh, baby, baby it's a wild world. I'll always remember you like a child, girl.*  
– Nicolas aż się odwrócił do tyłu, kiedy usłyszał głos Zoe. Dziewczynka uśmiechnęła się do niego szeroko. – *You know I've seen a lot of what the world can do and it's*

*breaking my heart in two.*

– *'Cos I never want to see you sad girl.* – Tę zwrotkę zaśpiewali już razem, a Eric przewrócił tylko oczami, jednak uśmiechnął się lekko pod nosem. Mimo wszystko nie miał zamiaru dołączyć się do wesołego śpiewania. Sytuacja była dosyć groteskowa, nucili sobie wesoło piosenkę, jadąc jak jedna wielka rodzina na wakacje, gdy za oknem samochodu widać było włóczące się żywe trupy.

– *Hope you make a lot of nice friends out there. But just remember there's a lot of bad and beware.* – Nicolasa zdziwił fakt, że Zoe знаła cały tekst piosenki, nie tylko refren. Śpiewała z nim dzielnie aż do samego końca, a on stwierdził, że może ta dziewczynka jest wyjątkiem? Wszystkie dzieci były głupie, ale musiał być wśród tej całej chmary jakiś ewenement.

Utwór dobiegł końca, jednak po chwili szumów rozpoczął się kolejny. Po pierwszych akordach Nicolas od razu rozpoznał, co to za piosenka, gdyż zaczynała się bardzo charakterystycznie. Ściszył jednak Cryin od Aerosmith i odwrócił się przodem do Zoe.

– Skąd znasz słowa Wild Word? Nie jesteś trochę za młoda na taką muzykę? Nie słuchasz One Direction, Justina Biebera czy czegoś w tym stylu? – zapytał. Trochę orientował się w modzie, jaka panowała wśród dzieciaków.

Zoe prychnęła, jakby ją właśnie obraził, i założyła ręce na piersi. Grzywka opadła na czoło, nadając jej morderczy wyraz twarzy.

– Tata lubił taką muzykę. Zawsze wieczorami puszczał – wyjaśniła. – W szczególności tę piosenkę. Mówił, że to dzięki niej poznał mamę. – Uśmiechnęła się szeroko, a Nicolas zerknął kątem oka na Erica. Nie umknął mu lekki grymas i zmrużone w zastanowieniu oczy.

– Dlaczego tak długo jedziecie do Miami? Minęły już trzy miesiące, a wy ciągle w Wyoming – mruknął i spojrzął na kierowcę z ciekawością. Już wcześniej go to zastanawiało, nie na tyle jednak, aby zapytać. Teraz stwierdził, że skoro jadą tą niekończącą się drogą i nie ma nic innego do roboty, może się dowiedzieć czegoś o Ericu i Zoe. Na horyzoncie nie widać było ani jednego porzuconego samochodu, więc podejrzewał, że jeszcze trochę czasu spędzi z tym rodzeństwem i wilczurem dyszącym mu nad uchem.

– Mieliśmy utrudnienia na drodze – powiedział cicho Eric, nie odrywając wzroku od szosy. Zoe spojrzała na niego ciekawsko, a następnie zerknęła na



Nicolasa.

– Do Miami jest daleka droga – wyjaśniła ze swoim dziecięcym przekonaniem.

Nicolas nic jej nie odpowiedział, tylko kiwnął głową. Coś mu tu nie pasowało, ale nie chciał się wtrącać w nieswoje sprawy. Wiedział, że gdyby im zależało na dotarciu do Miami, już by albo tam byli, albo dojeżdżali.

– Nie polecam znajdować się w okręgach dużych miast – mruknął i rozsiadł się w fotelu, wzdychając ciężko. – Jestem z Nowego Jorku i to, co się tam działo w dzień wybuchu zarazy, to jeden wielki chaos. Podejrzewam, że teraz miasto jest już martwe... chociaż, może nie do końca. – Zerknął na Erica, który też rzucił mu czujne spojrzenie, a następnie wpatrzył się w odbicie Zoe w lusterku. – A skąd jesteście? – zapytał.

– Z małego miasteczka w stanie Oregon.

– Z Powell Butte – sprostowała Zoe i uśmiechnęła się do Nicolasa. – Fajnie tam było. Cicho. Pełno pól i łąk. Kiedyś nawet mieliśmy konia! – pochwaliła się, o wiele bardziej skora do rozmowy niż jej brat, który tylko kiwał głową, zupełnie jakby musiał potwierdzać jej słowa. Nicolas uniósł brwi i obejrzał się na dziewczynkę. On dorastał wśród zgiełku miasta i praktycznie nigdy nie wyjeżdżał z Nowego Yorku. Dopiero teraz poznał, jak to jest żyć wśród przyrody i, oczywiście, żywych trupów, bo o nich nie dało się zapomnieć.

– To zazdroszczę – powiedział zgodnie z prawdą Nicolas i uśmiechnął się. – Ja trzy miesiące temu pierwszy raz na żywo zobaczyłem krowę. – Zaśmiał się, trochę skrepowany swoim wyznaniem. Zoe aż wybałuszyła na niego oczy, a Eric parsknął kpiąco pod nosem, za co Nicolas pchnął go w ramię. – Nie śmiej się. Jak nie wyjeżdżasz z miasta, to niby gdzie masz krowę zobaczyć? – prychnął. – W Central Parku się nie pasą, no sorry.

– Nigdy nie byliśmy w Nowym Jorku. Jest tam tak jak na filmach? – zapytała Zoe, a Nicolas od razu pokręcił głową. Obrócił się do niej przodem, bo lubił mieć z rozmówcą kontakt wzrokowy. Naprawdę nie była ani głupim, ani denerwującym dzieckiem. I podobało mu się to, że podobnie jak on nawijała jak szalona. Aż śmieszne, że jej bratem był Eric-mruk.

– Lepiej – sprostował. – Na filmach nie pokazują, jak wielkie są te budynki. Czujesz się jak mrówka, stojąc przy nich. – Zaśmiał się. – Na dodatek ruch na niektórych ulicach jest niesamowity. Idziesz wśród tylu ludzi, że nawet trudno

byłoby ci się zorientować, kiedy ktoś zajebałby ci portfel i...

– Wyrażaj się – warknął Eric, przerywając mu. – Nie przeklinaj przy niej.

– Przestań – parsknęła Zoe i kopnęła zaczepnie w fotel brata. – Myślisz, że nie znałam słowa „zajebał”?

Nicolas zaśmiał się rozbawiony i wrócił do opowiadania dziewczynce o Nowym Jorku. Starał się jak najwierniej opisać klimat panujący w tym mieście, mówił dużo o sławnym, bogatym Manhattanie, ale wspominał też o Bronksie, mniej sławetnym okręgu, o dużym procencie przestępczości. Uwielbiał mówić o swoim rodzinnym mieście, kochał je i naprawdę świetnie się w nim czuł, mimo że utrzymanie się w nim nie było aż takie proste. Nie dla studenta, który musiał dzielić swój czas na naukę i pracę.

Zoe słuchała go z uwagą i od czasu do czasu coś wtrącała, starała się jednak nie przeszkadzać. Eric za to rzucił tylko, że nie przepada za dużymi miastami, ale wydawał się słuchać z uwagą. Zresztą, Nicolasa nie dało się nie słuchać. Mówił bardzo donośnie i szybko, a na dodatek miał ten swój piskliwy, irytujący głos. Nie można było go po prostu zignorować.

Jechali tak jeszcze przez jakiś czas, to rozmawiając (głównie Zoe i Nicolas, Eric mało co się odzywał), to słuchając muzyki. Nagle jednak na horyzoncie zobaczyli ciemny punkt. Wraz ze zmniejszającą się odległością pomiędzy nim a ich pojazdem, dostrzegli, że był to zielony, porzucony samochód osobowy. Nawet Zoe zamilkła, kiedy przejeżdżali obok niego. Tylne szyby były zaciemnione, jednak przez przednie zauważyli, że jest pusty. Zatrzymali jeepa kilka jardów dalej i nim wysiedli, złapali jeszcze za bronie.

– Pójdę zobaczyć – powiedział Nicolas i wysiadł z samochodu, od razu rozglądając się dookoła w poszukiwaniu zagrożenia. Wyglądało na to, że byli sami na tym pustkowiu, więc trochę się rozluźnił i podszedł do pojazdu. Zajrzał do środka, lecz wewnątrz panował półmrok. Złapał za drzwi i otworzył je. Nagrzane powietrze buchnęło w niego, a on aż się skrzywił i zakasłał, kiedy poczuł mocną woń zgnilizny. Zamknął oczy, które zaszyły mu łzami od tak ostrego fetoru i nie zauważył poruszenia na tylnym siedzeniu. Nagle coś na niego ruszyło i złapało gorącą, ugotowaną ręką za jego ramię. Spojrzał prosto w zaropiałe, mocno wypukłe oczy czegoś, co jeszcze niedawno było kobietą. Wrzasnął niekontrolowanie, zbyt zaskoczony, żeby zareagować spokojnie. Nagle, obok jego krzyku, po okolicy

rozniósł się też huk wystrzału. Kula przeleciała obok Nicolasa, któremu wydawało się, że prawie otarła się o jego nos. Przebiła czaszkę zarazonej, która opadła na tylne siedzenia, nieruchomiejąc.

Nicolas oddychał ciężko z szeroko otwartymi oczami. Spoglądał na ciało, wciąż nie mogąc się uspokoić, już nawet nie zwracał uwagi na bardzo nieprzyjemny zapach, który pewnie będzie towarzyszyć mu jeszcze przez długi czas.

– Zabiłbyś mnie! – krzyknął nagle na Erica, kiedy już otrząsnął się z szoku.

– Albo ona ciebie – prychnął i odsunął go od samochodu, zaglądając do niego. Sam się skrzywił na zapach panujący w środku, ale nic nie powiedział. – Nie ma paliwa – powiedział i odsunął się od wozu, od razu zamykając drzwi.

Nicolas odchrząknął i obejrzał swoją rękę. Znajdowały się na niej dziwne, brunatne ślady. Momentalnie poczuł, jak coś zimnego wspina się po jego szyi, żeby zaraz mocno zacisnąć się na jego gardle.

– Musze to umyć – powiedział z rosnącym przerażeniem. Nie wiedział, czy go trup przez przypadek nie zadrapnął. Serce znowu zaczęło mu bić z nerwów ze zdwojoną siłą.

– Zahaczyła cię paznokciem? – zapytał Eric dziwnie ciężkim głosem. Podeszedł do niego i nagle złapał go za nadgarstek, przyciągając do siebie jego rękę. Obejrzał ją, ale nie dotykał tego, co zostawił po sobie uścisk dłoni zarazonej. Nicolas spojrzał na jego skupioną twarz – nad czymś się zastanawiał i na nieszczęście, doskonale wiedział, nad czym.

– Przecież pierwsze objawy następują od razu! – powiedział, a mężczyzna pociągnął go mało delikatnie w kierunku samochodu. Otworzył bagażnik i złapał za jakąś szmatę, którą zwilżył odrobiną wody. Obmył mu rękę, a następnie spryskał ją płynem antybakteryjnym.

– Po godzinie – odparł grobowym głosem, jeszcze oglądając skórę, czy przypadkiem nie ma żadnych zadrapań. – Nie minął nawet kwadrans – mruknął i spojrzał mu w oczy. Nie powiedział tego głośno, jednak po jego wzroku Nicolas doskonale wiedział, że jeżeli coś się stanie, on nie zawaha się i albo zostawi go na pustyni żywego, albo z kulką pomiędzy oczami. – Tu – wskazał na maleńką ranekę po paznokciu. – Zadrapała cię.

Nicolas na chwilę aż przestał oddychać. Wyrwał z dłoni Erica środek antybakteryjny i obficie zlał nim czerwony ślad, gdy nagle mężczyzna wyrwał mu

buteleczkę z rąk.

– Będzie mi jeszcze potrzebny! – syknął i wrzucił specyfik do auta, zatraskując drzwi od bagażnika. Obszedł samochód i do niego wszedł, a spanikowany Nicolas zaraz zajął miejsce w pojeździe, za bardzo bojąc się, że Eric może go tu zostawić.

– Nic mi nie jest – powiedział do mężczyzny. Sam jednak już nie wiedział, czy w głowie kręci mu się przez nerwy, czy przez to, że został zarazyony.

– Tego nie wiem – warknął i spojrzął na zegarek. – Po godzinie zbiera się choremu na wymioty – powiedział i odpalił samochód. Nie mogli tutaj zostać, nie, kiedy wystrzał mógł zwołać trupy, bądź, co było chyba jeszcze gorsze, ludzi.

– Nic mi nie jest – powtórzył Nicolas niczym mantrę, chcąc chyba bardziej upewnić siebie, że był zdrowy. To małe zadrapanie nie mogło przecież doprowadzić do zakażenia. Czekanie na wyrok było jednak najbardziej przerażające. Patrzył to na uporczywie milczącą Zoe, to na Erica, który wcale nie był lepszy. W aucie panowała cisza, chyba najbardziej nieprzyjemna, z jaką do tej pory spotkał się Nicolas. Żołądek ścisnął mu się z nerwów i co najgorsze, nie wiedział, czy może zaraz nastąpią wymioty krwią, czy po prostu czuł się tak przez silne emocje. Patrzył przez okno na rozciągający się step, przystrojony gdzieś jakimś krzewem czy karłowatym drzewem. Jezdnia ciągnęła mu się w nieskończoność, minęli po drodze jakąś farmę, jednak nie zatrzymali się, widząc na jej posesji kilka błakających się trupów. Zresztą gospodarstwo było całkowicie zdemolowane, więc tylko się za nim obejrżeli, żeby zyskać pewność, że nie ma się po co zatrzymywać. Spalone zgliszcza stodoły i nadpalona, kiedyś biała chatka przekonała ich, że nie. Nie było tam nic, czego mogliby potrzebować.

– Jak się czujesz? – zapytał sucho Eric.

Minuta ciągnęła się za minutą. Nicolas ciągle zerkał na zegar, żeby kontrolować czas. Minął dopiero kwadrans, powinien, zgodnie z tym, co słyszał, mieć zawroty głowy. I co najgorsze, miał. Kręciło mu się w głowie, odnosił wrażenie, że zaraz zemdleje, a cały obraz przekręcał mu się przed oczami.

– Dobrze – szepnął. To z nerwów, powtarzał sobie. To na pewno z nerwów. Przez tak małą rankę nie mógł się przecież zarazić! Przecież to byłaby najżałośniejsza śmierć, jaką widział, a dotąd widział jej już naprawdę sporo. Przez rozszarpanie, zeżarcie żywcem, odgryzienie palców. Wszystko wiązało się z dużymi ranami, a on miał na ręce ledwie małe draśnięcia.

– Kłamiesz – syknął Eric. I jechali dalej. Samochód zwolnił. Toczyli się niewiele ponad trzydzieści mil na godzinę. Najwidoczniej w razie potrzeby, Eric chciał go zostawić na tym pustkowiu. Tętno Nicolasa nie przyspieszało, jak to bywało w przypadku zarażonych, jednak wiedział, że już wcześniej było bardzo szybkie. Jeszcze chyba nigdy się aż tak nie bał, nie przez tak długi okres czasu. Niby tylko godzina, ale w tamtym momencie wydawała mu się wiecznością.

Minęło trzydzieści minut. Cyfry na zegarze przeskakiwały niezwykle wolno, jakby z opóźnieniem. Tak, na pewno coś musiało być zepsute, przecież to niemożliwe, żeby tyle trzeba było czekać.

– Jak? – znów zadał zwykłe, proste pytanie. I tak co dziesięć minut.

– Dobrze.

Zaczął zbierać mu się na wymioty. Żołądek ścisnął go tak jak kiedyś, gdy wypił za dużo alkoholu i przyszedł kac. Miał wrażenie, że zaraz zwymiotuje całe swoje wnętrze. Bał się, tak bardzo się bał. Aż zaczął się trząść. Zawsze był tchórzem i egoistą, myślał tylko o sobie, a w tamtym momencie wcale nie było inaczej. Nie zastanawiał się, co by się wydarzyło, gdyby zarażenie wirusem przyspieszyło. Czy ugryzłby Erica? Zoe? Nie obchodziło go to. Chciał żyć, bez zarażenia się tym świństwem.

– Jak?

Nicolas z ulgą dostrzegł, że minęła godzina. Dalej było mu niedobrze, ale nie wymiotował.

– Jest okej, naprawdę – powiedział i spojrzał na Erica.

– Jeszcze trochę – sapnął i nagle zatrzymał samochód. Zbliżała się dziewiętnasta, pustynne słońce zaczęło powoli chować się za horyzontem.

– Nic mu nie jest – powiedziała z pewnością Zoe, obserwując wszystko uważnie z tylnych siedzeń. Również czujnie spoglądała na zegarek i na Nicolasa, próbując ocenić jego stan. – Pamiętasz? Kyle zaczął się mocno pocić – szepnęła, wychylając się przez przerwę pomiędzy przednimi siedzeniami. Wyciągnęła swoją dłoń i nim jej brat zdążył ją odepchnąć, położyła ją na czole Nicolasa. – Nie jest rozpalony.

– Nie dotykaj go! – wrzasnął Eric i odtrącił jej rękę. – Nie wiemy, czy nie ma jakiegoś syfa!

– Nie mam! – krzyknął Nicolas.

– Tego wciąż nie wiem!

– Nie mam, do kurwy nędzy! – Nicolas aż zacisnął dłonie w pięści. – Nie mam żadnego syfa! Nie zaraziłem się! Gdybym się zaraził, pewnie już leżałbym w jakiejś agonii! Minęła godzina! – krzyczał, zupełnie zapominając, że przemiana – jak określał stan, w którym zarażony tracił przytomność – następuje przez cały dzień. Pierwsze objawy następowały szybko, jednak na utratę świadomości trzeba było trochę poczekać.

Eric spojrział na niego ciężko. Marszczył brwi i wyraźnie się nad czymś zastanawiał.

– Wsiadaj – rzucił, na co Nicolas drgnął, ale nic nie zrobił. – Wsiadaj, powiedziałem!

– Eric! – wtrąciła się Zoe.

– Cicho! – wrzasnął do siostry. – A ty wypierdalaj! – zwrócił się do Nicolasa.

– Nie zostawiaj mnie tu! – Aż zadrgała mu dolna warga. – Nie tu! Na jakiejś stacji, przy samochodzie, gdziekolwiek, ale nie na pieprzonym pustkowiu!

– On mnie uratował! Eric, tak nie można!

Eric zacisnął zęby i w końcu walnął otwartą dłonią w kierownicę w geście bezsilności. Opadł na oparcie fotela i przetarł dłonią twarz.

– Próbuję cię chronić – zwrócił się do siostry dziwnie ciężkim głosem. Nigdy go wcześniej nie używał. – Próbuję cię chronić, cholera.

– Nie zaraziłem się – powiedział pewnie Nicolas. Mdłości powoli przechodziły, teraz już wiedział, że spowodowane były zdenerwowaniem. Nie mógł zarazić się przez zadrapanie, wszystkie zarażenia, które widział, następowały przez ugryzienie. Podejrzewał, że wirus przenosił się przez ślinę, a przynajmniej miał taką nadzieję. W końcu nie był na żadnych studiach medycznych, a z lekarzem miał wspólne tyle, co nic. Jeszcze niedawno nie wiedziałby nawet, jak wyleczyć się z grypy.

– Jeżeli dasz mi powód, żeby myśleć inaczej... – zaczął Eric.

– Nie dam – przerwał Nicolas pewnym głosem, zupełnie niepodobnym do tego, którego używał chwilę wcześniej – zdenerwowanego i pełnego obawy. – Nie dam, bo się nie zaraziłem, kurwa. Wiem to, nie jest mi niedobrze. Nie kręci mi się w głowie. Nie mam żadnych pieprzonych omamów!

Eric kiwnął głową i odetchnął. Siedzieli chwilę w ciszy, którą przerywało jedynie ciężkie dyszenie psa plującego na ramię Nicolasa. Ten jednak mało się tym przejął, miał większe zmartwienia niż łeb wilczura zwisający mu przy boku.

– Więc? – zapytał Nicolas, przerywając milczenie. Eric nic nie odpowiedział, jedynie wrzucił pierwszy bieg, a samochód znowu ruszył. – Dziękuję.

\*\*\*

Słońce chyliło się ku zachodowi, oświetlając ostatnimi pomarańczowymi promieniami rozległe pola kukurydzy. Wyjechali już z obszarów pustynnych i poniekąd Nicolas cieszył się ze zmiany otoczenia, bo ileż można patrzeć na piach i gdzieś tam rosnące małe, karłowate drzewka czy suche krzewy? Dość miał już takiego widoku, jednak szybko odkrył, że pola uprawne też mogą się znudzić. Po drodze minęli kilka gospodarstw, jednak nie znaleźli ani jednego sprawnego samochodu, tylko to, co po nich zostało. Wszystko zostało rozkradzione, nawet na jeden kanister paliwa nie mieli co liczyć. Przejechali też obok trzech stacji paliw, niestety, dwie z nich były opróżnione do cna, a na jedną nie mieli nawet po co wjeżdżać. Na samym początku wybuchu epidemii zatrzymały się na niej dwa autokary wypełnione ludźmi i wszyscy już tam zostali. Zabijanie ich byłoby bardzo pracochłonne, a na dodatek mogłoby zwołać innych zarażonych, którzy akurat błąkali się w pobliżu.

– Ciekawe, dlaczego jedne emigrują, a drugie nie – zagadał Nicolas. Eric zbyt długo już z nim przebywał, żeby nie wiedzieć, że chłopak mówił cały czas. Gęba prawie w ogóle mu się nie zamykała i gdy jeden temat się kończył, zaczynał drugi. Czasem na siłę, czasem nie, zależało od tego, czy mieli jeszcze o czym rozmawiać.

Eric był z natury człowiekiem bardzo małomównym, więc potakiwał albo zaprzeczał. Czasem rozwinął jakąś myśl do dwóch, trzech zdań, ale jak zauważył Nicolas, to było jego maksimum. Resztę dopowiadała Zoe. Byli zgranym rodzeństwem, mimo że posiadali dwa odmienne charaktery, ale właśnie dzięki temu się dopełniali.

Może jeszcze trzy miesiące temu nie dziwiłby go taki widok. Każdy miał kogoś, kogo kochał i, jak myślał, oddałby za niego wszystko. Jednak dopiero wtedy, kiedy przychodził prawdziwy kryzys, wychodziła natura człowieka. A ten był egoistą, jak każde zwierzę. Nicolas już dużo widział. Matki zostawiające swoje dzieci same na środku ulicy, zdradzających się braci... Wszystko to wydawało się być na porządku dziennym. Miał jednak przekonanie, że Eric i Zoe byli inni. Naprawdę wiele by dla

siebie zrobili, bo już z daleka dało się dostrzec ich silną relację. Mieli tylko siebie. A Nicolas nie miał nikogo, kogo mógłby chronić. Był sam i do tej pory było mu z tym dobrze, wszystko zmieniło się od momentu zadrapania przez zarażoną. Nie chciał być sam w takiej chwili. Uzmysłowił sobie, że umrze w samotności i nikt nawet o nim nie wspomni. Przerazająca śmierć.

– Nie wiem – mruknął Eric jak zwykle zdawkowo.

– Czytałam gdzieś, że taka zagłada poprzez wirus, który ożywiałyby to, co już umarło, jest niemożliwa – powiedziała Zoe i złapała się dwóch przednich oparc, wychylając przez nie. – A patrz, teraz mamy epidemię! – mówiła, jak zwykle zresztą, bardzo szybko i głośno.

Nicolas odwrócił się do niej i już miał coś powiedzieć, jednak jego spojrzenie przez chwilę padło na deskę rozdzielczą, a dokładniej na ikonkę wskazującą rezerwę paliwa. Zerknął na Erica, który już od dłuższego czasu nie wyglądał na zadowolonego.

– Nie jesteś zmęczona? – zapytał Zoe. – Cały czas trajkoczesz jak najęta. – Zaśmiał się i powrócił na oparcie. Sam zaczął się denerwować. Nie wiedział już, czy gorsze jest to, że stanęliby na jakimś pustkowiu i nie znaleźliby nigdzie pomocy, czy gdyby zatrzymali się w niebezpiecznym miejscu. Na przykład obok jakiegoś miasteczka, w którym aż roiłoby się od zarażonych.

Lampka rezerwy musiała nie palić się zbyt długo, bo jechali jeszcze ponad pół godziny, aż zaszło słońce, a Zoe padła na tylnych siedzeniach razem z Mulan, pochrapując głośno. Eric przeklął cicho pod nosem, kiedy samochód się zatrzymał.

– Świetnie – sapnął i opadł na oparcie fotela.

– Masz jakiś pomysł? – zapytał Nicolas, patrząc na niego uważnie, na co on tylko wzruszył ramionami. Wysiadł nagle z jeepa i przeszukał swoje kieszenie, już po chwili wyciągając z nich paczkę papierosów.

Znajdowali się pomiędzy polem uprawnym a łąką. Teren był dosyć nierówny, a ciągnąca się przed maską samochodu droga przypominała z oddali wijące się węża. To wznosiła się, to znowu schodziła w dół, aż wreszcie znikwała z zasięgu wzroku przez panujący półmrok.

Gdy Nicolas otworzył drzwi, poczuł przyjemny, chłodny podmuch wiatru na twarzy. Aż się uśmiechnął i spojrział na rozgwieżdżone niebo. Gdy żył w Nowym Jorku, nigdy nie widział tylu gwiazd na raz i tak silnego blasku księżyca. Czasem



myślał, że ta pandemia miała swoje plusy, bo człowiek za bardzo oddalił się od natury. Później jednak dochodził do wniosku, że brzmi żałośnie, jak jakaś przegięta ciotunia, co to kontempluje piękno i zachwyca się nad każdym kwiatkiem, więc udawał, że wcale tak nie myślał.

– Więc? – odezwał się Nicolas, obchodząc samochód. – Gdzie wy tak właściwie jedziecie? – zapytał. – I nie wkręcaj mi, że do ojca do Miami, bo wiem, że wcale ci się tam nie spieszy. – Eric spojrział na niego groźnie, ale po chwili odetchnął i zaciągnął się mocno papierosem, którego koniuszek aż rozbłysnął żarem, by po chwili znów słabo się tlić.

– Donikąd – powiedział, wypuszczając dym nosem. – Nie ma ojca – dodał, nie patrząc na Nicolasa, mimo że ten nie spuszczał z niego uważnego spojrzenia.

– I nie powiedziałaś jej o tym? – zapytał. – Przecież ona żyje dla tego spotkania! – Nigdy nie myślał, że będzie komuś prawić kazania umoralniające, ale naprawdę polubił Zoe. Była miłą dziewczynką, wygadaną i rozumiejącą jego słabe poczucie humoru. Nie zasługiwała na to, by wierzyć w coś, co nigdy się nie wydarzy.

– Wiem, kurwa – syknął Eric. – Wiem – dodał już spokojniej. – Ale co mam jej powiedzieć? Że ojciec do mnie zadzwonił trzy miesiące temu i powiedział, że został ugryziony? – Pokręcił głową i rzucił niedopałek na asfalt, by przygnieść go butem.

– Tak, właśnie tak masz jej to powiedzieć. Jezu, Eric, wiem, że to jest dziecko, ale taką mamy rzeczywistość. – Aż sam siebie nie poznawał. Był pewny, że nie potrafił udzielać rad i, co chyba ważniejsze, nawet nie chciał tego robić. Zawsze wzruszał ramionami i żył zasadą jasno mówiącą, by nie wtrącać się w coś, co nie dotyczyło bezpośrednio jego. Powinien więc i teraz z niej skorzystać, wrócić do samochodu i zastanowić się, czy gdzieś nie znajdzie sprawnego pojazdu z pełnym bakiem. Nie powinien interesować go Eric. (Uratował go na stacji benzynowej, wielkie rzeczy!) Ale Eric też nie musiał się nim przejmować, mógł wyrzucić go z samochodu, kiedy został podrapany. Może i chciał to zrobić, ale ostatecznie był tutaj. Z nim. Jechał z Nicolasem ze świadomością, że był dla nich niebezpieczeństwem.

– Chcesz? – zapytał Eric, wskazując na paczkę papierosów. Nicolas kiwnął głową. Zapowiadała się długa noc i jakoś muszą ją przeżyć. Wsunął sobie używkę pomiędzy usta i nachylił się do płomienia z zapalniczki, jaką trzymał mężczyzna w dłoniach. Żar zatańczył na czubku papierosa i już po chwili się uspokoił, tłąc leniwie.

– Normalnie nie palę – powiedział jeszcze, nim się zaciągnął. Aż zakasłał, czując mocny, drażniący dym papierosowy w przełyku. Eric zaśmiał się i poklepał go po plecach.

– Spokojnie. Nie tak nerwowo. Jakbyś chciał wciągnąć powietrze, a nie napić się wody. – Pokręcił głową, obserwując go z uśmiechem. Nicolas podjął jeszcze jedną próbę zaciągnięcia się, jednak skończyło się tak jak za pierwszym razem.

– Nie – powiedział, aż się krzywiąc i oddając papierosa Ericowi. – Nie chcę. Gówniane cholerstwo.

– Mam jeszcze jakieś waniliowe, chcesz? – zapytał, jawnie z niego kpiąc. Nicolas aż prychnął, rozłoszczony.

– Skąd masz? Pewnie takie palisz, gdy nikt nie patrzy – prychnął, aż zakładając ręce na piersi. Nie lubił, jak ktoś z niego żartował. Nie miał do siebie żadnego dystansu, ale mimo to on z innych uwielbiał się nabijać.

– Nie. Brałem co popadnie – powiedział i wsunął sobie między usta drugiego papierosa, którym nieudolnie próbował zaciągnąć się Nicolas. Obszedł samochód i otworzył bagażnik, po czym chwilę w nim pogrzebał. – Orientuj się – rzucił, celując w niego paczką waniliowych Black Devilów. Chłopak tylko cudem je złapał, przytrzymując dłonią i brodą, bo przeleciałyby mu nad ramieniem.

– Idiota – warknął, ale szybko odpakował papierosy, ciekawy ich smaku. – Jak będą beznadziejne, dodam ci pomiędzy usta trzeciego peta – prychnął, na co Eric tylko wzruszył ramionami i zamknął bagażnik.

Ta noc była dziwna, stwierdził Nicolas, kiedy razem z towarzyszem usiadł na asfalcie, opierając się plecami o samochód. Przez chwilę nie odzywali się do siebie, jedynie Eric podpalił mu koniuszek papierosa smakowego, po czym strzepał ze swojego popiół.

– Uwielbiam takie niebo – powiedział nagle Eric. – Jak byłem kiedyś w Portland, prawie nic nie widziałem w nocy przez światła z miasta – mruknął i zaciągnął się.

Nicolas czy chciał, czy nie, pokiwał głową. Też tak przecież uważał, takie niebo o wiele bardziej mu się podobało, mimo że miało w sobie coś przerażającego. Bo wystarczyło unieść głowę i już czuło się dziwnie małym, nic nieznaczącym.

Złapał czarnego papierosa w dwa palce i przesunął językiem po słodkich wargach. Nie przyznałby się na głos, że smakuje mu coś tak kobiecego, ale już

wiedział, dlaczego wszystkie jego znajome przepadały za smakowymi.

– A ty? – zapytał Eric, przerywając ciszę, jaka pomiędzy nimi zapadła. – Nie masz nikogo?

– Mówiłem już – prychnął Nicolas. Tak jak wcześniej był z tego dumny, tak teraz zaczęła ciążyć mu świadomość, że był sam. I nie miał żadnego celu, oprócz chronienia swoich czterech liter.

– Ale naprawdę nie masz, czy po prostu się odłączyłeś? – drażył dalej Eric, co było do niego zupełnie niepodobne.

– Nie mam. Nie miałem już przed pandemią. – Wzruszył ramionami i wpatrzył się na żarzący koniuszek papierosa. Wystarczyło, że wgniótłby go w asfalt i już by zgasł. – To trochę jak z ludźmi, co? – zapytał nagle, wciąż patrząc na tłącą się końcówkę używki. – Jeden ruch i już cię nie ma... – powiedział z zamyśleniem i zmarszczonymi brwiami. Nagle jednak usłyszał śmiech Erica, który aż zatkał usta, żeby nie być zbyt głośno. – A goń się – prychnął Nicolas, czerwieniejąc po same koniuszki uszu. Że też musiał powiedzieć coś tak głupiego.

– Nie, nie. – Dalej nie mógł się uspokoić. – Po prostu to mi do ciebie nie pasuje – wyjaśnił, gdy już jako tako opanował śmiech. – Zabrzmiałeś dziwnie mądrze.

– Idiota. Studiowałem filozofię, także wiesz, całuj stopy. – Przewrócił oczami i zaciągnął się. Słodki dym wypełnił jego płuca, pozostawiając na języku posmak wanilii.

– Serio?

– Nie – prychnął. – Rachunkowość. Najnudniejsze dwa lata mojego życia, dobrze, że już do tego nie wrócę. – Zaśmiał się i spojrzał na Erica.

– Nawet apokalipsa ma swoje plusy – zażartował.

– Wszystko tworzy krąg życia, co?

– Nie cytuj „Króla lwa”, twoje pięć minut filozofa już minęło. – Eric przewrócił oczami, ale się uśmiechnął. Obaj jednak musieli przyznać, że przez chwilę poczuli się z dala od codziennych problemów. Zapomnieli o braku paliwa, o zarazonych, którzy mogli być dosłownie wszędzie i o wrogich ludziach, których najlepiej jest unikać.

Siedzieli ramię przy ramieniu, rozmawiając o wszystkim, co nie było związane z wirusem, paląc przy okazji fajkę za fajką. Nicolasa aż zaczęło pobolewać gardło i pojawiła mu się lekka chrypa, ale, jak uważał, wszystko było dla ludzi. Aż wreszcie

konwersacja jakby samoistnie zeszła na tory ich dawnego życia. Nie opowiadali jednak o sobie zbyt wiele, udzielali zdawkowych informacji, siedząc blisko siebie i patrząc w niebo.

– Miałeś kogoś? – zapytał nagle Nicolas. Eric aż spojrzał na niego, a jego twarz wydała się o wiele zbyt blisko twarzy Nicolasa.

– Nie. A ty?

– Nie.

Nie potrzebowali doprecyzowania o jakie „posiadanie kogoś” chodziło. Zrozumieli się bez słów.

– Chociaż tyle dobrze – mruknął jeszcze Nicolas, a Eric uśmiechnął się krzywo, kiwając powoli głową. – Pewnie mamy teraz małe szanse na znalezienie kogokolwiek – stwierdził, czując się dziwnie nietrzeźwo. Zupełnie, jakby nie palił papierosów, a wypił ze trzy albo i cztery kieliszki wódki. Swój stan zapewne zawdzięczał mieszance zmęczenia oraz długotrwałego stresu.

– Tak ci zależy? – zapytał Eric z lekkim uśmiechem, trącając go ramieniem.

– Jestem facetem, jasne, że zależy – prychnął Nicolas, przewracając oczami. Nie przyznał się do swojego małego doświadczenia seksualnego, ktoś taki jak Eric miał pewnie całą masę pańienek w łóżku. Nie mógł się przed nim zbłąźnić.

– Okej. – Eric pokiwał głową, patrząc na niego z bliska. Nicolas poczuł się dziwnie niepewnie pod tym czujnym spojrzeniem. Chrząknął i usiłował zmienić temat, nie bardzo wiedząc o czym właśnie myślał Eric. – Co? – prychnął w końcu, poirytowany tym badającym wzrokiem, jakim omiatał go mężczyzna.

– Zastanawiam się.

– Nad czym? – Popatrzył mu w oczy, a jakaś absurdalna myśl w głowie podpowiedziała, że Eric miał naprawdę ładne usta. Zrzucił to oczywiście na karb zmęczenia, papierosów, bolącego gardła i stresu, gdy w pewnym momencie Eric pochylił się do niego oraz tak po prostu pocałował.

Początkowo miał ochotę go od siebie odepchnąć, a później może nawet uciec (tylko niby gdzie?). Serce zaczęło łomotać mu z nerwów w piersi, kiedy nagle cała jego możliwość racjonalnego myślenia odłączyła się jak za wyjęciem wtyczki z kontaktu. Zamknął oczy, poddając się chwili i stwierdzając, że raczej miał niewielkie szanse na znalezienie kogoś do całowania. A naprawdę lubił się całować.

Wszystko jednak uderzyło w Nicolasa ze zdwojoną siłą, kiedy odsunął się od

Erica i otarł mokrą od śliny brodę. Aż zatrzymał powietrze w płucach, nie wierząc w to, co się wydarzyło. Jasne, Eric był przystojnym facetem i jasne, Nicolasowi czasem podobali się mężczyźni. Z reguły jednak wolał kobiety. Może przez wywierające nacisk społeczeństwo, a może po prostu preferował płęć piękną, nie wiedział, ale nigdy się głośno nie przyznał, że był biseksualny. Nie lubił kategoryzacji i szufladkowania. A Eric? Eric nie wyglądał mu na geja.

– To... – odchrząknął. – Sorry – mruknął, sam nie wiedząc, dlaczego był aż tak zawstydzony i dlaczego to on przepraszał, skoro niczego nie zapoczątkował.

– Jasne. – Eric pokiwał głową i wstał. – Idę się przespać, popilnuj godzinę czy dwie – rzucił i wsiadł do pojazdu, zostawiając Nicolasa z poczuciem winy. A przecież nie miał za co czuć się winny! Zwykły pocałunek! Każdemu może się zdarzyć, w szczególności, że brakowało im kobiet.

\*\*\*

Siedział przy samochodzie, wpatrując się w niebo. Minęło sporo czasu, odkąd Eric poszedł spać. Nie godzina, nie dwie. Ze cztery co najmniej. Noc powoli kończyła się, jednak wciąż było szarawo. A on siedział i przysypiał, oczy jakby samoistnie mu się zamykały, jego głowa wciąż ciągnęła w dół, a wtedy on szybko ją podnosił i próbował się rozbudzić.

Przymknął powieki, tylko na chwilę, zaraz przecież wstanie i obudzi Erica. To tylko kilka sekund, nic się nie stanie... Co miałyby się stać? Byli w samym środku niczego...

Obudziło go charczenie. Głośne, niewydobywające się z tylko jednego gardła, a co najmniej z setek. Rozejrzał się panicznie dookoła i z przerażeniem dostrzegł, że z pół mili dalej szło na nich kilkaset emigrujących zarażonych. Musieli opuścić jakieś miasteczko, które znajdowało się niedaleko. Aż się poderwał i szybko zawałił w szybę, budząc Erica. Nie wiedział, co zrobić. Wystrzelać ich? Było ich za dużo, mogli tylko uciekać. Serce waliło mu w piersi jak oszalałe, prawie podchodziło do gardła. Otworzył drzwi od strony kierowcy i wtedy spojrział w drugą stronę. Miał wrażenie, że w tamtym momencie czas się zatrzymał, serce przestało mu bić, wstrzymał oddech. Byli otoczeni. Z dwóch stron nacierali na nich zarażeni. Nie miał już nawet szans na ucieczkę. Spojrzał na Erica, a jego oczom ukazała się jego zgniłozielona

twarz z rozwaloną, zwisającą żuchwą.

– Jezu, nie! – krzyknął, aż podrywając się z asfaltu. Oddychał ciężko, rozglądając się dookoła po pustej przestrzeni. Serce łomotało mu tak, jakby naprawdę znalazł się w tak patowej sytuacji. Był cały spocony i chyba...

– Co się drzesz? – Spojrzał zażawionymi oczami na wysiadającego z samochodu Erica. Szybko zamrugał, zdając sobie sprawę, że to był tylko głupi sen. Powoli zaczynało się robić widno, tyłek bolał go od siedzenia, a kark od spania w niewygodnej pozycji.

– Czemu mnie nie obudziłeś? – prychnął, chcąc koniecznie zmienić temat. Czuł się obnażony, Eric widział go płaczącego. I to z powodu czego!? Głupiego snu!

– Nie widziałem takiej potrzeby – powiedział i wzruszył ramionami. – Spałeś dosyć spokojnie aż do momentu, jak się nie wydarłeś. – Rozejrzał się uważnie dookoła w poszukiwaniu zagrożenia, które Nicolas mógłby ściągnąć na nich swoim krzykiem. Nic jednak nie było widać, tylko jakaś wrona usiadła na ramieniu stracha na wróble, który teoretycznie powinien ją odstraszyć.

Nicolas już miał coś powiedzieć, gdy z samochodu wysiadła Zoe razem z Mulan. Pies przeciągnął się i od razu poszedł na pobliską trawę, by załatwić swoje potrzeby.

– Jestem głodna – powiedziała dziewczynka do brata. Ten uśmiechnął się oszczędnie i kiwnął głową.

– A ty? Chcesz jeść? – zapytał Eric, mierząc Nicolasa uważnym spojrzeniem. Obaj zachowywali się tak, jakby w nocy nic nie miało miejsca. I jakby poranek był spokojny, a Eric nie widział w oczach swojego współtowarzysza łez.

– Tak – odpowiedział od razu i uśmiechnął się. – Jestem głodny.